



Wydawcy i redaktorowie: Stanisław Błotnicki i Adolf Inlender.

# PIEKIELKO

POWIEŚĆ

na tle stosunków współczesnych

napisał

**MICHAŁ WOŁOWSKI.**

(Ciąg dalszy.)

Nauczyciel i Helenka znaleźli się pewnego wieczora sami, a był to jeden z tych niebezpiecznych wieczorów, w którym tchu braknie zakochanym, krew pulsuje gwałtownie a rozmowa cała ogranicza się do zamiany spojrzeń.

I Kazik i Helenka nie wiedzieli o tem sami, kiedy ich ręce splotły się razem, kiedy usta spoity się w tym piekielnym uścisku, od którego do przepaści krok tylko.

Szczęśliwy kto takich chwil niema, bo po za nimi pozostawia całe życie męczarni, szczęśliwy kto w przepaść nie wpada.

Niestety, oni oboje do tak szczęśliwych nie należeli...

Kazik wybiegł z domu Radwanów rozgorączkowany i nieprzytomny prawie, z włosem rozczochranym, biegł sam nie wiedząc dokąd, przypominał sobie wszystkie okoliczności chwili strasznej i naraz stanąwszy pod wawelską górą, gdy myślą objął wszystko co przeżył, wzdrygnął się, zatrząsł i zawył prawie:

— Podły! nizeczemny jestem!...

W mózgu zaczęły mu się kręcić wszystkie następstwa czynu, którego się dopuścił, rozpacz kobiety, którą zhańbił, pozycja jej w świecie, przyszłość zmarnowana, życie całe, wszystko to jak w kalejdoskopie kręciło mu się przed oczami.

Z uczucia swojego dawniej nie zdawał sobie sprawy, wierzył w swoją przyszłość, wiedział że go Helena kocha, nie widział jednocześnie przeszkód, któreby go od raję odciągnąć mogły. Dawniej mówił sobie:

— Zdobędę stanowisko, nauką zajdę na szczyty i Helena będzie moja.

Niestety mylił się, świata nie znał i kodeksu praw jego dzikich, pojęcia o tem nie miał, że są przedziały takie w warstwach społecznych, których nie wyrównać nie zdoła.

Po wieczorze jednak owym czuł tylko że dopuścił się czynu haniebnego, że bądź co bądź należy go naprawić jak można najprędzej i walcząc z sobą przez noc całą, przyszedł w końcu do wniosku, iż trzeba koniecznie jaknajprędzej Helenę poprowadzić do ołtarza.

Przyszedł nazajutrz do mieszkania jej rodziców, zastał ją bladą, mizerną, z oczyma spuszczo-nemi ku ziemi, ale ukradkiem rzucającemi ku niemu płomienie. Kazano mu tego dnia lekcję odbywać w obecności matki.

O! piekielna to była lekcja...

Całą siłę woli spożytkować musiał na to, aby wydobyć głos z piersi i gardła, całą siłę myśli ku temu skierować, aby zachować logiczny związek w swoich słowach.

Tak przeszedł tydzień podobnych męczarni; tydzień, w którym sama pani Radwan zachorowała na troskliwość o swoje dziecko.

Nie podejrzывała ona wcale o miłość tych dwojga ludzi, którzy w pożegnalnym konwenansowym uścisku ręki zamykać musieli całą rozmowę dwóch serc. Wypadało to jej jednak tak z programu.

Następny tydzień dla zakochanych był już szczęśliwszym; pani Radwan właśnie miała konferencję z magazynierką w kwestji nowej sukni na bal publiczny, gdy Kazik na lekcję się zjawił, opuściła zakochanych, których ramiona się rozwarły i utonęły w długo oczekiwany wzajemnym uścisku.

Pierwszy oprzytomniał Kazik.

— Helu! — szepnął — tak dalej być nie może... tyś niewinna, młoda, ty nie wiesz z czem igraliśmy oboje. Pójdę do ojca, oświadczyć się i pobrać się musimy jak najprędzej.

— Idź! — była odpowiedź tej, która kochała jeszcze.

Kazik pełen najlepszych dobrych myśli znalazł się nazajutrz w mieszkaniu Radwanów i zaczął się zaanonsować ojcu.

Z pewnem zdziwieniem przyjął tę wizytę ojciec ukochanej Kazika, tak mało znał człowieka, tak nie przywykł zwracać na niego uwagi, iż w pierwszej chwili zdawało mu się, że ten parweniusz prawdopodobnie przychodzi go prosić o protekcję. Skrzywił się nawet, gdy lokaj wymienił nazwisko przybyłego, nadto jednak był dobrze wychowanym człowiekiem, aby się miał od wizyty wymówić.

Kazik wszedł blady jak chusta i niemym wzrokiem przez chwilę wpaływał się w twarz Radwana, szukając napróżno w swej myśli frazesu, od którego mógłby zacząć rozmowę stanowić mającą o przyszłości jego całej doli i tej, którą kochał.

Radwan chwilowe to milczenie przyjmował jako skutek wrażenia, które jego osobistość na przybyłego czyniła, chciał go ośmielić, a więc z pańska z łagodnym uśmiechem zapytał:

— Czemuż mam przypisywać zaszczyt pańskiej wizyty?

— Panie! — zawołał już ośmielony nieco Kazik — „przychodzę tutaj dopełnić obowiązku formy, która jednak jest konieczną dla szczęścia dwojga osób.

— Dla szczęścia dwojga osób? — powtórzył Radwan zdumiony.

— Z których jedna bliżej cię panie obchodzi.

— Nie nie rozumiem panie Szyszka — odpowiedział Radwan.

— Nie dość jasno się tłumaczę... powiem szczerze, otwarcie, prosto jak umiem, — gorączkowo recytował Kazimierz — kocham pannę Helenę, ona mnie kocha, przyszedłem cię panie prosić o jej rękę.

Radwan zrobił oczy jakby przed sobą ujrzał warjata i nagle po malej przerwie zawołał:

— Jak... jak panie Szyszka, pan kochasz moją córkę, ona kocha pana? nie... prawdopodobnie pan zmysły straciłeś; wiesz pan że to zabawne, prawdziwie zabawne... uśmiejemy się z żoną i z Heleną z tego pańskiego pomysłu..

I tutaj wstał pan Radwan z siedzenia, głową skinął z pańska młodzieńcowi chcąc mu tym sposobem dać poznać, że audjence już skończona.

Ale Kazimierz tego zrozumieć nie chciał, nie mógł, dreszcz zimny przebiegł mu ciało, on musiał ratować sytuację za jakąkolwiek bądź cenę, wyboru nie było, schwyił więc za rękę ojca Heleny i zawołał:

— O panie, nie rzucaj tak słów lekkomyślnie, bo nie wiesz jakich nieszczęść przyczyną one być mogą. Człowiek nie zawsze odpowiada za siebie, niejednokrotnie sam nie wie jak ulega sile wyższej, jak działa a wtedy...

— Cóż wtedy panie Szyszka? — powtórzył znów zimno Radwan.

— Wtedy stać się mogą straszne rzeczy, możesz zgubić mnie, córkę, dobre jej imię — wołał prawie nieprzytomny młodzieniec — bo ona mnie kocha, gotowa wszystko dla mnie poświęcić... wszystko, czy słyszysz panie?!...

Radwan roześmiał się sucho i znów odparł:

— Bredzisz, panie Szyszka, żeby cię jednak pod tym względem wyleczyć z wszelkich iluzji, zawołam tutaj moją córkę, może cię ona lepiej objaśni że się mylisz... Ręczę panu, że ona tak jak i ja serdecznie śmiać się będzie.

— Dobrze, zawołaj pan ją, ona ci powie wszystko, powie to nawet, czego ja powiedzieć nie mogę.

Gwałtowne targnięcie dzwonka i wydana dyspozycja przybyłemu na to wezwanie lokajowi, aby natychmiast poprosił panienkę, zadość uczyniły woli pana domu.

Helenka zjawiała się natychmiast, ujrawszy Kazimierza od razu zrozumiała wszystko, stanęła blada i milcząca przed ojcem.

Radwan zdawał się nie pojmować tego co działo się w sercu córki i chłodno ze suchym śmiechem zapytał.

— Cóż ty na to moja córko? pan Szyszka raczył się oświadczyć o twoją rękę; nieprawdaż że to zabawne?

Jak lilja podejta, tak jednym ruchem na kolanach przed ojcem znalazła się Helena.

— Ojeze! ja go kocham! — wybiegło jej z ust, a w głosie tym czuć było że przemawia serce.

— My już musimy należeć do siebie, dodał ponuro Kazimierz.

Nacisk położony na tę konieczność ze strony Kazimierza, zrozumiał dopiero w tej chwili Radwan, jednym rzutem oka ogarnął Kazimierza i córkę, wściekła błyskawica gniewu zamigotała mu w oczach i zawołał:

— Nie ma konieczności panie Szyszka, która by mnie zmusiła do wydania córki za ciebie lotrze! Ona pójdzie tam gdzie ja każe, a ty... za drzwi... precz!

Kazimierzowi krew uderzyła do głowy, ale w tej chwili stanęło mu na myśli to, że kocha Helę, że tu idzie nie tylko o naprawienie błędu, ale i jego własną przyszłość i szczęście i on się zniżył do nóg Radwana i on ukląkł i on prosił a tymczasem grzmiało w powietrzu:

— Za drzwi! za drzwi!...

Co się dalej stało, Kazimierz już sam nie wiedział: kręciło mu się w głowie, był nieprzytomny prawie a gdy się znalazł na ulicy jak przez sen przypominał sobie tylko cudze ręce na swoim grzbiecie i siłę z jaką go wypchnięto za drzwi.

W pierwszej chwili myślał o samobójstwie, runienie wstydu twarz mu palił, ale ucziwe refleksje szeptały do ucha:

— A ona co pocznie? gdy zostawisz ją samą... Zhańbilibes ją a dziś porzucasz na pastwę tych, którzy ją wyklinac będą.

I wzdrygnęła się dusza człowieka, który na chwilę dzięki wzburzonej krwi zaponiiał o obowiązkach honoru, ale który z gruntu był uczciwy, i wiedział że tego rodzaju przestępstwa życiem całem płacić należy.

— Tak... ja jej nie opuszczę, stanę się dla niej aniołem stróżem, ona mojej pomocy potrzebować będzie...

Co się działo z Kazimierzem od owej chwili strasznej, kto opowiedzieć zdoła? Nawet owa niepowściągniona żądza wiedzy, która od dzieciństwa na każdym prześladowała go kroku, opuściła go teraz.

Księgi uczone i manuskrypta pokrywał kurz i pajęczyna a on myślał tylko i myślał nad tem, jakby z tego labiryntu zaczarowanego się wydobyć, jakby nagrodzić krzywdę którą wyrządził.

Czuł pod stopami otwierającą się przepaść. Stary Grzegorz już nie żył, przyjaciół takich, przed którymi serce by mógł otworzyć, z tajemnicą się zwierzyć, nie miał; doświadczenie życiowe jeszcze do niego nie przyszło, znajdował się więc w tem zaczarowanym kole, z którego wyjścia nie widział.

Najsilniejszy umysł w tych warunkach byłby pobłądził i upadł a on do najsilniejszych jeszcze należeć nie mógł. Całą swoją usilność skierował też tylko ku pilnowaniu domu, w którym mieszkała Helena. Od świtu do zmroku widziano go przechadzającego się po ulicy, na której mieszkali Radwanowie. Wpatrywał się często w okno, ale nie dojrzeć nie był w stanie. Po tygodniowym lukiem wartowaniu zdecydował się nareszcie Kazimierz przedsięwziąć pewne środki badania. Z nieśmiałością tedy począł pytać stróża domu o to, co się wewnątrz domu działo.

Z przerażeniem dowiedział się że Radwanowie opuścili miasto dnia tego samego, w którym wyrzucono go za drzwi. Pot zimny wystąpił mu na czoło, serce ścisnęło się z bólu, bo po za tem pragnieniem naprawienia błędu, ten człowiek czuł jeszcze miłość, kochał, był kochanym, a uczuć takich łatwo nie wyrzuca się z serca.

Pierwszą myślą jego jak zwykle w razach takich było powrócić do pierwotnego planu i skończyć z życiem, które mu niesłychanie pustem się wydawało; ale znów wzgląd na nią, uwaga że i ona tych samych co on doznaje uczuć, poraz drugi wstrzymała go od spełnienia zamiaru.

Powrócił więc do domu, sprzedał wszystko co tylko jakakolwiek mogło mieć wartość, nawet książki, do zbierania których czuł prawdziwą namiętność i poszedł... za nią.

O stosunkach Radwanów wiedział wszystko dokładnie, pierwsze więc swoje kroki skierował tam, gdzie mógł przypuszczać iż Helena z rodziną się znajduje.

W Stoleńcu, gdzie znalazł się najpierw, powiedzieli mu ludzie, że państwo ze starszą panią, wyjechali zagranicę.

Obliczył swoją kasę: przedstawiała mu się ona skromnie bardzo, ale na wędrowkę wystarczyć mogła; użył wszystkich sposobów, aby się dowiedzieć kierunku drogi Radwanów i w końcu z listów pisanych do rządcy majątku przekonał się, iż stałym pobytem rodziców Heleny był Wiedeń.

W dwadzieścia cztery godzin znalazł się w naddunajskiej stolicy i tu rozwinął całą zrzęcnosć agenta policyjnego, aby się o mieszkaniu Heleny dowiedzieć.

Helena jednak tam nie było. Mieszkanie Radwana odkryć było łatwo; informacje biura adresowego w policji wskazały mu hotel, w którym zamieszkali rodzice jego ubóstwianej. Heleny jednak tam nie było.

Kazimierz całymi dniami nie jadł, a stał opodal hotelu i obserwował kto i gdzie ztamtąd wychodził.

Po dwu-tygodniowej takiej obserwacji udało mu się w końcu wynaleźć dom i ogródek, gdzie przed ciekawością ludzkich oczów ukryto przedmiot jego miłości.

Po za Wiedniem w okolicy Alsergrund znajdowała się ładna willa, otoczona prześliznym ogródkiem, w którym zamknięto pustelnicę i kazano jej... czekać.

A pilnie strzeżono ideału biednego nauczyciela, bo Kazimierz mimo najsilniejszych starań, mimo pieniędzy, któremi chciał przekupić jej stróżów, miesiące całe czekał zanim zdołał doprowadzić do skutku zamiar, z jakim tutaj specjalnie przybył. Uczynił to zaś ryzykując się na wszystko w sposób przypominający scenę balkonową Romea.

W tym celu zaopatrzył się w drabinkę sznurową i pewnego wieczora za pośrednictwem niej, dostał się go ogrodu owej willi. Serce mu znów biło gwałtownie, w skroniach pulsowała krew, gdy przekroczył to więzienie istoty, za której szczęście, z ochotą całe życie byłby poświęcił.

Zmrok wieczorny sprzyjał mu. Z temi samemi wrażeniami, z jakimi przekroczył parkan, znalazł się w gąszczu krzaków, wzrok wyteżył i czekał czy mu się Helena nie ukáže, lub chwili w której zabłysną światła w pokojach, a on będzie w stanie rozeznacć kto się we wnętrzu znajduje i upatrzeć chwilę, w której z Heleną się porozumie.

Tym razem mu szczęście sprzyjało.

Pod wieczór ujrzał smutną i bladą Helenę wychodzącą na ganek willi, znajdującej się w ogrodzie, serce mu jeszcze żywiej zabiło. Helena była samą, dłużej wytrzymać nie mógł i zaledwie kroków parę postąpiła po ścieżce, jak szalony wypadł ze swego ukrycia i do nóg się jej rzucił.

Przerażona na widok Kazimierza nie mogła słowa nawet wyrzec. I jej biło serce gwałtownie i ona drżała.

— Kaziu! panie Kazimierzu! ty tutaj?!

— O tak! pożera mnie gorączka. Od trzech miesięcy ginę za tobą, śledzę, dopytuję się, szu-

kam i nigdzie... teraz dopiero mogłem się znaleźć w twojem więzieniu... Uciekajmy ztąd, w świat, daleko!...

— Aby zmarnieć! — była odpowiedź.

— Aby żyć, aby zdobyć sobie szczęście... Wszakżesz my nie tylko dla siebie mamy obowiązki...

— Wiem o tem — smutno i cicho zakończyła Helena, spuszcżając bezwładnie główkę na ramiona Kazimierza.

— A więc nie mamy czasu do stracenia, uciekajmy! — zawołał gwałtownie Kazimierz.

On nie liczył się z niczem, nie zwracał uwagi na to wszystko, co go otaczało, na warunki życia, liczył na swoją energję i wierzył, że obowiązkom męża i ojca podołać będzie umiał. Ale ona przez cały czas swego zamknięcia nasłuchiwała się tylu rad praktycznych, tylu dowodzeń o nিকেżności swego uwodziciela, iż poczęła w niego wątpić.

Helena nie należała do kategorii tych ludzi silnych i niewzruszonych którzy po największych burzach życia unieją zachować równowagę i zdobyć się na niezachwiane postanowienia.

Był to dopiero materiał na kobietę, z której można było wyrobić spiż trwały, albo woskową lalkę umiejącą się nagiąć do każdych stosunków i okoliczności. Zamało żyła w świecie, zamało w jej wychowaniu zwracano uwagę na tę właśnie stronę, która jest podstawą bytu i przyśżości — na charakter.

(Ciąg dalszy nastąpi).

## POŻEGNANIE.

Jak biedny wygnaniec, mam odejść w niedoli  
I ścisnąć to serce, co tęskni i boli,

Okryte ponurą żalobą.

Mam słyszeć w naturze wciąż pieśń pogrzeżbową,  
I widzieć kir czarny nad biedną mą głową

I więdnać w tęsknocie za tobą.

Czyż nigdy nie ujrzę twych krucznych warkoczy,  
Nie będę spoglądał w cudowne twe oczy,

Od świata, od ludzi daleki.

Gdy życie goryczą wciąż karmić mnie będzie,  
Mam myśleć, że złoto cię dźwięczne posiędzie,

By w otchłań pogrążyć na wieki?

Jam biedny robotnik, a silne me dłonie

Pracują, aż potem obleją się skronie,

Lecz znosząc wciąż dolę mą sroga.

Wśród grobu człowieka, wśród ciągłej niewoli

Jam myślał, żeś światłem w mej strasznej niedoli,

Boś naszą ty siostrą uboga.

Niewdzięczna! tyś miłość sprzedada bogaczom,

Co w dzikiej rozpuście twe serce uracza

Weselem, a potem pogardą,

Co w srogą niewolę współbraci mych wziął,

A z butą po naszą kobietę sięgnął,

By zhanbić i rzucić ją hardo.

Na wieki cię żegnam; niech piers twa oddycha

Swobodnie; pij słodycz z rozkoszy kielicha,

Jak rosę poranną motyle.

Ja szczęście swe znajdę w fabrycznem sklepieniu.

I piosnkę miłosną w kół ostrem warczeniu,

A spokój w dalekiej mogile.

*Henryk Kubiński.*

## MARJA KONOPNICKA.

### STUDJUM LITERACKIE.

#### I.

Słońce romantyczne przebiegło już swoją dzienną drogę! Kilka chwil jeszcze, a ostatnie jego promienie przestały purpurą obrzucać polskie niwy. Nastął zmrok szary, który trwożył lękliwą rzeszę rymotwórców — spóźnionych uczniów wielkich romantyków. Nie umieli i nie mogli oni w ciemnościach szukać dróg nowych, a kilku piewców wyrastających ponad poziom tłumów, nie chciało znowu widzieć ogniska, u którego bardowie zachodu od lat dwudziestu już przeszło czerpali natchnienie i nowe siły.

„Za ostatnim poetą zamknęła się brama.

Tym wierszem rozpoczynają się poezje Konopnickiej, a słowa te charakteryzują trafnie ówczesne siły poetyckie, poetów tam nie było. Podobnie jak w wieku XVII., tak i teraz zapanował w tej dziedzinie literatury dyletantyzm, nie wzbogacony ani studjami ani zmysłem artystycznym. Zapomniano o zasadzie, że literatura winna być wiernem odbiciem prądów i hasel, jakie w społeczeństwie krążą, że do niej należy przewodnictwo i wskazywanie narodowi dróg nowych.

O tem wszystkim zapomnieli domorośli piewcy pogrążając się we łzach i szlochach, istne dzieci, pozabawione ręki przeczornej piastunki. To też doczekali się oni, jak dzieci, różgi moralnej ze strony młodego

jeszcze wówczas, a śmiało już naprzód występującego stronnictwa.

Publiczność przyzwyczaiła się widzieć w poezji coś oderwanego, nie mającego najmniejszej styczności z rzeczywistością ludzką. Gotowa czytać zawsze jęki i narzekania, odtrącała ludzi, którzy w artystyczną szatę przyoblekali myśli, nietylko żywcem z zagadnień ruchu społecznego schwycone, lecz nadto próbujące ów ruch popełnić dalej, a z jego torów usunąć pewne zawady i przeszkody. „Krewnych“ Korzeniowskiego obrzucono błotem wzgardy. Na czystem, jedynie zmarszczkami wieku i pracy pooranem czole powieściopisarza, pojawiła się brudna, ręką sprzedajną przylepiona, pieczęć zdrady wobec kraju.

O takie zarzuty u nas najłatwiej.

Lecz strumień czasu bieży naprzód wartką, wszystkie tamy przewyciężającą falą. A i ludzie, których ta fala na swym grzbiecie niesie, zmieniają się starzej, wreszcie padają na dno strumienia, pozostawiając następców, młodszych, a różnym sposobem i myślenia i działania.

Zjawilo się stronnictwo, które sztandar wytrącony z rąk autora „Krewnych“ podniosło. Byli to ludzie młodzi, a jako młodzi żarliwi walki. Znane są dzieje tego boju; znana broń, jakiej zastęp nowych szermierzy używał, a znani są i instruktorzy, których duch i dzieła w czasie utarczek im towarzyszyły.

Tak zwany „pozytywizm“ przyjął się na polskim gruncie.

#### II.

pozytywizm rzucając pęki jaskrawych promieni światła rozprószył szare mroki. Wschodzące słońce różnie witali. Jedni korzystali chętnie z ożywczej jego działalności, drudzy w obawie, by nie utracić nieprawnych zysków, jakie im noc, chmurna, czarna i beksiężycowa w darze niosła, wołali, że blask tego słońca oślepią, że się go strzec wypada; trzeci, małoduszni, spuszczać z własnej woli powieki oświadczały, że nic nie widzą. Lecz podobne przeszkody i niechęci musiały stopnieć jak śnieg na wiosnę. W skorupie obskurantyzmu pokrywającej polską ziemię, porobiły się naprzód szczyrby, później dziury, aż wreszcie lodowaty pancierz pękł, bo promienie nowego słońca palily silnie i ustawicznie.

Z kimże miało do czynienia nowe stronnictwo i dokąd dążyło?

Ówczesne społeczeństwo możemy na podstawie pewnych danych z łatwością odtworzyć. Minęło bowiem od tej chwili dopiero lat dwadzieścia. Ci, którzy dzisiaj dźwigają na swych barkach sześćdziesiątkę, wówczas oddychali pełnią życia. Weźmy więc takie indywidualum, przypatrzmy się mu dokładnie, a odtrąciwszy szczyptę

pessimizmu i żal za ubiegłymi laty, nieodłączną właściwością starszego wieku, otrzymamy przeciętny typ człowieka, który koło 1868 r. miał przeważający głos w sprawach polskiego społeczeństwa.

Ci ludzie zostawali wtedy pod przygnębiającym wrażeniem klęsk i nieszczęść. Ideały romantyczne, które nauczyli się czcić w młodości, zawiodły ich. Za starzy byli, by nowych szukać — przywiązali się więc do nich rozpaczliwą, ostatnią miłością czterdziestoletniej kobiety, która kochankowi nie wierzy, a przecież nie chce go wypuścić z swych objęć. I słusznie, bo po za ostatnim uściskiem kochanka, choćby niewiernego, czeka ją tylko głucha pustynia starości.

Ci ludzie nie posiadali po większej części wyższego wykształcenia. Uniwersytetu w kraju nie było; skończenie gimnazjum otwierało drogę do wszystkich urzędów. Wypadki i hasła wszelkie nie oceniali ze stanowiska naukowego i umiejętnego, katolicyzm i patrijotyzm to były ich narzędzia miernicze. Szczególnie ten pierwszy probierz, przesadnie i bezwzględnie używany, zaciemniał szersze widnokreśli, trzymał kraj w średniowiecznych karbach i tamował swobodny rozwój nauk i umiejętności. Tym ostatnim poświęcała się szczupła garstka szczęśliwców, którym przyjazny los pozwolił skończyć jakikolwiek uniwersytet zagraniczny. Ci widzieli, że dzieje się źle, że społeczeństwo pozostało w tyle za Europą przynajmniej o lat czterdzieści, że ludzie zamieniają się w manekinów bez ducha i życia.

Widzieli raka, toczącego pierś narodu, lecz czekali. Czekali, gdyż było ich mało, by chwycić się do wyrzynania zgnitego mięsa.

Założenie szkoły głównej zmieniło odrazu pozycję. W jej murach wykształcił się liczny zastęp ludzi, którzy mieli objąć przewodnictwo w nowym ruchu i rzucić w twarz starych słowa: „Ustąpcie, bo czas wasz już minął.“

Istotnie była to walka dwudziestoletnich z czterdziestoletnimi, była to kampania synów przeciwko ojcom.

Dokąd dążyli ci młodzi? Oni widzieli, że na zachodzie prądy społeczne z innych, czystszych, bardziej wieczystych wypływają źródeł. Widzieli, że patrijotyzm opiera się tam na ciągłej, wytrwałej pracy ekonomicznej, że nauki spoczywają na pozytywnych, doświadczeniem wypróbowanych pewnikach, że religię traktują tam nie jak coś objawionego, nadnaturalnego, lecz jak każdą inną gałąź nauki. Spostrzegli, że my Polacy jesteśmy z gruntu społeczeństwem arystokratycznym i skazanem na wygnanie w razie, jeżeli inteligencja nie przygarnie, nie zjedna sobie zawczasu ludu, który Rosja niedawno rozkuła z pańszczyźnianych więzów. Widzieli, że na zachodzie literaturze poświęcają się nie dyletanci, nie rozbitki, którym na innej drodze pracować się nie

chce, lecz artyści, którzy przyswoili sobie najnowsze tajniki wiedzy i zbadali skarby ojczyznojęzyka.

Hasło ich więc brzmiało: „Wiedza to potęga, a na niej opierają się: miłość dla ludu, uznanie go za najważniejszy składnik społeczeństwa i tolerancja czy to religijna czy to rasowa. Żądali równych praw dla wszystkich, a więc i dla kobiety. Emancypacja kobiet to także jeden z punktów ich programu.

Dzisiaj na walkę tę, korzystając z jej owoców patrzymy okiem krytycznym. Dzisiaj można wytknąć t. zw. pozytywistom, że kładąc zbyt nacisk na rozwój ekonomiczny, popadli w drugą ostateczność, stali się holdownikami mieszczańskiego liberalizmu, który jedynie w złotem cielcu czyli kapitale uznaje bożka, że rzucając gwałtowne przekleństwa na romantyzm i wyrzucając mu jego istnienie, popełniali jako postępowcy nielogiczność, bo romantyzm, jak każdy inny kierunek literacki, był swojego czasu niezbędną koniecznością, był ogniwem nieprzerwanego łańcucha przyczyn i skutków.

Wśród świstu kul i jęków rannych poezja zakwitnąć nie może. Po białych liliach i przepysznych kobiereczkach tkanych z kwiatów i zielonej murawy przejeżdżają ciężkie koła armatnie i obryzgują je kałuże ciepłej krwi. Co najwięcej, może w powietrzu przelecieć kartacz, obrany w rymowaną szatę, może zabrznieć ognisty hymn bojowy. Są to rymy, ale nie poezja. Liryka drży i błędnie jak młoda dziewica, wreszcie milknie.

Konopnicka wstąpiła w czasie, kiedy pierwsze, krzykliwe namiętności ucichły, kiedy przez zrobiony wyłom weszła do umysłów przynajmniej pewna część postępowego programu. Miała ona już las wykarczowany, pnie wyrwane, rolę zaoraną, trzeba było tylko rzucić ziarno.

### III.

Mamy do czynienia z kobietą i o tem przez cały ciąg naszego studjum nie powinniśmy zapominać. Wszystkie idee i wszystkie prądy przeszły u Konopnickiej przez ów delikatny nerw, kobietom właściwy, a łagodzący wiele ostrych konturów i przekładający zawsze nad głowę — serce. A kiedy już o sercu mowa to pomówmy nasamprzód o owem uczuciu, z którego, jak ktoś powiedział, kobieta zwykle robi dla się zadanie całego życia.

— Miłość — to magnetyczne słowo. Na dźwięk owego „kocham“ rumienia się pensjonarki i uśmiechają się zalotnie osiwiłe babunie.

I Konopnicka wie, co znaczy „kocham“.

„Kocham“ to znaczy: ja chcę być dla ciebie  
Prawdy i dobra i piękna zaklęciem,  
Umilowanym twej duszy dziecięciem,  
Twojem marzeniem o niebie.

Cheć domu twego być białym powojem,  
Twojemu czolo od skwarów ochroną,  
Cheć być twą myślą i ramieniem twojem  
I przyjacielem i żoną.

(Do kobiety.)

Stawia ona żądanie, by kobieta nie była dla męża ciężarem, ładnym spitzetem, służącym do ozdoby salonu a żyjącym z jego pracy i potu. Widzi jasno, że wychowanie romantyczne wmówiło w kobietę, iż jest ona pół bóstwem, a pół dzieckiem, nicodpowiedzialnem za swe postęпки i kaprysy. Zna dobrze takie kobiety, które z salonu do salonu wożą świetne stroje, których puste serce uderza goręcej tylko na dźwięk muzyki, na widok tancerzy. a które nie troszczą się o dziecko, pozostawione w domu pod opieką piastunki, czule gruchającej z kochankiem.

(Urywek.)

Cheć, by kobieta jako żona była światłem i ozdobą domu, by nosła pokój, ciszę i zdrowie. Dlatego muszą ideały męża być jej ideałami: jego łyzy muszą i w jej sercu budzić tęskną zadumę, musi dzielić jego tudy i prace a w zamian za to żądać od męża, by uznał w niej bratniego i pokrewnego ducha.

Wie atoli, że człowiek i krew ma w żyłach, że namiętności nie śpią, że kobieta zamężna nieraz musi staczać ciężkie walki, by dochować wiary mężowi i móżd nadstawić córce do pocałunku czolo swe czyste i nieskalane. Rozumie, że od kobiety kochającej, uniesionej porywem umysłowym podobnej mocy i siły żądać byłoby niepodobieństwem. Żąda więc jej od ukochanego mężczyzny. „Jeżeli kochasz — mówi głosem drżącym od namiętności i przytłumionym od smutku — nie wołaj mię z sobą. Nas rozdziela na wieki głęboka przepaść, której nie powinniśmy przejść, bo świat nie przebaczy nam rozkoszy, a życie nie zaoszczędzi przesytu.

Charakterystycznym znamieniem, błędem może umyślnym dla widoczniejszego kontrastu jest ta okoliczność, że gdy Konopnicka zestawia kobietę z mężczyzną, to ten ostatni zawsze jest idealny i zawsze bez zmaży, gdy kobieta przeciwnie dźwiga na swych barkach wiele win i wiele grzechów.

Na wierszach poetki, omawiających stanowisko kobiety w społeczeństwie, jej obowiązki i prawa, jej drogi i cele, znać wpływ hasel, które ucieleśnił Chmielowski w „kobietach Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego“. Dąży ona do stworzenia ideału kobiety — obywatelki.

I zdaje mi się, że widzę pod rozłożystą lipą, której gałęzie od lat dwustu rzucają cień na drewniany dach wiejskiego dworu, siedzącą kobietę. Mrok zapada, woń kwiatów lipowych napelnia powietrze, a ona marzy zapewne o tem, co przeczytała przed chwilą. Książka, która jej z ręki wypadła na trawnik, to studjum Chmielowskiego. Jego zdania kielkują w jej du-

szy i może wtedy zrodziło się w niej pragnienie zostania poetką, może wtedy zaświeci w jej głowie pierwszy pomysł wiersza „Do kobiety“.

(C. d. n.)

## KOESPONDENCJE „RUCHU“.

Paryż 20. stycznia 1887.

(Republikańska zmienność. Usiłowania monarchistów i dalszy rozwój republikański. Zela i najnowsza powieść „Ziemia“.)

Djablik drukarski, jak się wyraża p. Henryk Rewakowicz, zrobił mi figla w poprzedniej korespondencji i podszeptną zecerowi, że Rzeczpospolita jest „nieruchomą“ formą polityczną we Francji, gdy ja pisałem, że jest ona „nieuchronną“ i rozwijałem myśl, że zasadniczą cechą francuskiej Republiki nie jest nieruchomość lecz zmienność. Zmienność to przytem nie przypadkowa, bezładna, przygodna, jak zdawać by się zdawało z częstej zmiany gabinetów i ludzi rządzących w Republice. Osobistości tu nie nie znaczą, są one bowiem tylko wyrazem ciągłych przeobrażeń, dokonywających się w łonie Francji dzisiejszej. Przeobrażenia te zaś mają stałą swą logikę i konsekwencję, odbywają się ustawicznie, stopniowo, według pewnych zasad i kombinacji wewnętrznego rozwoju.

Trzecia Rzeczpospolita, zapominając o tem nie należy, poczęła się reakcją, po zalaniu ulic Paryża strugami krwi robotników, walczących pod sztandarem komuny; następnie zaś starano się o przeprowadzenie restauracji monarchicznej. W r. 1873 hrabia Chambord był bardzo bliskim tronu francuskiego i tylko własne jego niedołęztwo oraz uparte trwanie przy białym sztandarze i monarchii z łaski bożej zapobiegło tej restauracji. Owa wierność przytem białym liliiom Burbonów pustelnika z austriackiego Frohsdorfu nie była żadnem idealnem, bohaterkiem przywiązaniem do swego sztandaru, pretendent bowiem w trakcie toczących się podówczas układów, okazywał gotowość zamiany chorągwi białej starej Francji na trójkolorowy sztandar Francji nowoczesnej — była tylko poczuciem własnej niemocy. Hr. Chambord owinął się w biały sztandar jak w całun grobowy, czuł bowiem, że monarchia jego nie jest z tego świata, że się we Francji dzisiejszej długo nie ostoi, że stronnictwo monarchiczne jest w niej bezsilne i zużyte, lubo dość liczne; wołał przytem oddawać się spokojnym polowaniom na zające w cichym Frohsdorfie, niż sam być tropionym jak dziki zwierz przez lud zajadły i krwi chciwy. Wspomnienia rodzinne, gilotylna Ludwika XVI. nie zachęcały, zbyt do tentowania awantury, o co jednak pokusił by się niewątpliwie, i nie bez chwilowego powodzenia, człowiek bardziej energiczny, rzutki, człowiek bardziej przejęty swym obowiąz-

zkiem królewskim. Starsza jednak linja Borbonów, podobnie jak otaczające ją klasy uprzywilejowane i rządzące, przeżyły się były już dawno i na wiek cały przed zwyciężką rewolucją były już tylko rozkładającym się, gnijącym i zepsutym organizmem. Rewolucja bez wielkiego trudu oczyściła, miejsce dla nowej klasy rządzącej, wyszłej ze stanu trzeciego, z ludu i z inteligencji. Resztki spleśniałej arystokracji poszły za granicę spiskować przeciw własnemu krajowi i bezużytecznego żywota dokonać. Takim właśnie „królem na wygnaniu“, dogorywającym okazem szczątkowym był hr. Chambord. Młodsza linja Burbonów, uosobiona w hrabi Paryża i pielęgnująca tradycje Ludwika Filipa, reprezentowała już inny porządek „królestwa z łaski Bożej i woli narodu“, oparta nie na arystokracji, lecz na mieszczaństwie. Była to hybryda, zlepek eklektyczny, nie mający również w sobie pierwiastków żywotności. Sam hr. Paryża jest typowym okazem szlachcica — borżua, który pozbył się wszelkich politycznych pretensyj i myśli tylko o robieniu pieniędzy. Spadkobierca Ludwika Filipa przebywał długo w Ameryce, bił się nawet w szeregach walki secesyonistowskiej; ideałem jego było zostać amerykańskim plantatorem. W lipcu właśnie 1870 r. hr. Paryża miał ostatecznie wyjechać do Ameryki, by zająć się tam spokojnie uprawą buraków, gdy wypadki francuskie pokrzyżowały mu te plany. Obietnica zwrotu skonfiskowanych przez Napoleona Orleanom 40 milionów i obowiązki pretendenta zatrzymały go we Francji. Miljony zostały mu istotnie wypłacone przez rząd republikański, jednocześnie prawie z pruskim haraczem, poczem zaczęła się dla tego mieszczańskiego Burbona kłopotliwa i dwuznaczna rola pretendenta. Była ona kłopotliwą istotnie i hr. Paryża w głębi duszy nieraz żałować musiał niedoszłych swych plantatorskich projektów. Orleanie starali się początkowo o układ jakiś z przedstawicielem starszej linji Burbonów, gdy jednak hr. Chambord ani tronu nie obejmował ani pretendentury swej *in partibus infidelium* się nie zrzekał, nie pozostawało nic innego hrabiemu Paryża, jak czekać cierpliwie na śmierć swego prawowitego pomazańca, tymczasem zaś skarbić sobie względy z jednej strony legitymistów francuskich, z drugiej lojalnego mieszczaństwa i wpływowego zawsze duchowienstwa. Jawnie zresztą trzeba było występować w roli spokojnego obywatela Republiki. Tymczasem zaś rządili Francją pod maską republikanizmu monarchiści, czekający rychło li nadarzy się sposobność do restauracji. Pod koniec pretendentury Mac-Mahona gorętsi pokusili się o zamach stanu, który dzięki niedoświadczeniu ex-marszałka i własnej jego ambicji nie udał się i skompromitował tylko całą ukrytą machinację monarchistów. Prezydent Mac-Mahon zmuszony był ustąpić i miejsce jego w r. 1879 zajął Grevy, republikanin.

Pierwszy ten dziesiętek lat Republiki jest epoką zamaskowanych rządów monarchicznych, zmierzających do restauracji. Próby te nie udawały się. Republika wciąż istniała i republikanizm pod jej pokrywką wzrastał coraz bardziej w siłę. Rządy przechodziły stopniowo od prawicy do prawego centrum, do lewego centrum, oportunistów i radykałów politycznych. Są one dziś właśnie w ręku tych ostatnich. Wraz ze śmiercią hr. Chamborda i młodego księcia Lulu, z wydaleniem obecnie hr. Paryża projekty restauracji monarchicznej odłożono na czas dalszy, na nieprzewidzianą wypadki obecnie zaś stają naprzeciwko sobie we Francji coraz wyraźniej dwa wielkie stronnictwa: socjalno-politycznych konserwatystów i rewolucjonistów. Wzmaganie się politycznego radykalizmu, wzrost partij socjalnych powoduje coraz ściślejsze grupowanie się stronnictw przeciwnych na gruncie obrony zagrożonych interesów i stanowiska. Francja ma dziś przed sobą dwie drogi; albo spokojny i wszechstronny rozwój legalny, lub gwałtowny przewrót rewolucyjny. Ci co stawiają tamę spokojnemu rozwijaniu się i doskonaleniu instytucyj republikańskich w duchu wymagań nowoczesnych przybliżają tylko chwilę wybuchu i uczynić go mogą gwałtowniejszym. Borżuazja zresztą przeżyła się, jak klasy rządzące pod koniec wieku XVIII i traci głowę — reakcjonisci zaś marzą że na gruzach rewolucji a może i Francji zbudują nowy kościół, który nad zmordowaną ludzkością rozpostrze swe opiekuńcze skrzydła. Mamy nadzieję, iż rzeczywistość zada kłam tym naiwnym i samolubnym złudzeniom —

Od tych socjalno-politycznych wywodów nie daleka droga do powieści, która wyczekiwana jest niecierpliwie, zapoznać ma nas bowiem bliżej z klasą społeczną najmniej znaną, odgrywającą przeciw niej niemałą rolę w społecznym życiu każdego narodu. Mówimy o ludzie wiejskim. Najnowsza powieść Zoli mająca się za parę tygodni okazać, osnutą jest na tym właśnie temacie. Nosić będzie tytuł *Ziemia* „La terre“. Rzuci ona niewątpliwie wiele światła w stronę ludu i wsi, która jest dla inteligencji francuskiej ziemią prawie nie odkrytą i nieznaną, Mistrz francuskiego naturalizmu w wielkim swym cyklu powieściowym maluje nam swym niezrównanym pędzlem społeczeństwo francuskie w różnych jego częściach składowych. Niedawno w *Au bonheur des dames* dał nam obraz wielkich magazynów handlowych, powstających coraz liczniej w Paryżu na gruzach drobnego kramarstwa; w *Pot Bowille* dał nam domowe życie mieszczaństwa; w *Assomoir* przedstawił nędzę i pijaństwo, tą plagą pracującego ludu; w *Germinalu* stworzył wspaniały i groźny obraz życia górników i budzących się wśród nich pragnień lepszej przyszłości. Co dać zamierza w *Ziemii* opowiedział to sam niedawno jednemu z dziennikarzy paryskich. Rozmowę tę w główniejszych rysach powtórzymy.



Reporter pytał autora *Germinala* o zasadnicze jego przekonania.

— Doktryny? — rzekł Zola — nie mam ich wcale i wyznaję nawet, że nie zajmują mnie zupełnie. Niemam zresztą żadnych ambicji i nie chcę robić polityki. Mimo to jestem z głębszego przekonania socjalistą i mniemam, że wiek obecny lub conajmniej następny nie obejdzie się bez radykalnego przewrotu w społeczeństwie.

Interesują mnie natomiast fakty, dążenia mas do ideału sprawiedliwości. Mało się zajmuję dniami wczorajszym, to zaś co jutro nastąpi roznamiętnia mnie.

Kiedy zrobiłem *Germinala* chciałem zrobić przedewszystkiem książkę litości, badając bowiem nędzę pracowników górniczych, cierpienia tylu stworzeń ludzkich, pogrążonych w to piekło, przejęty sam zostałem bezmierną litością.

Trzeba mieć odwagę powiedzieć to: rok 89 nie zrobił nic dla robotnika. Podczas Rewolucji włościanin zyskał ziemię, robotnik — ten tylko stracił niektóre przywileje dawnych korporacji.

Przygotowuje się wielki ruch społeczny, dążenie do sprawiedliwości, które należy brać w rachubę, jeżeli stare społeczeństwo nie ma być zgniecione.

To wielkie i konieczne przekształcenie społeczne może jeszcze dokonać się pokojowo. Wielki już jednak czas na to, w przeciwnym bowiem razie gwałtowność tego ruchu może być straszna.

Co do mnie, nie sędzę, ażeby przyszedł ruch rewolucyjny wyszedł z Francji. Nie może on również przyjść z Rosji, nihilizm bowiem jest rzeczą specjalną, wyłączną.

Mniemam raczej, że gdy rewolucja socjalna wybuchnie w Europie, wyjdzie ona z Niemiec. Widziałem wielu socjalistów, socjaliści niemieccy wydają mi się najbardziej zdecydowanymi — a nadto cięży nad nimi twarde jarzmo cesarstwa, ucisk zaś tak silny — winien wywołać dziką rewolucję.

Moja przyszła powieść *Ziemia*, której zaledwie połowę dotąd napisałem, nie będzie książką socjalistyczną. Jednakowoż socjalizm, ponieważ używamy tego wyrazu, ma w niej swoje miejsce.

Nie wcielam go w włościanina, byłoby to bezsensowne, lecz w jednego z robotników wędrownych, którzy wychodzą z miast i puszczają się na los dróg przeróżnych, nabawiając strachu rolników, którzy dają im przytułek nocny gdzieś w kącie stodoły.

Panuje atoli błąd zakorzeniony, przeciwko któremu występuje: często mówi się w dziennikach konserwatywnych, że chłop jest fanatycznie przywiązany do własności i że gdyby miasta robiły rewolucję socjalną wsie podniosłyby się dla ich przytlumienia.

Potrzeba nie znać włościanina, nie badać go w ciągu lat, jak ja to czyniłem, ażeby wypowiadać takie głupstwo.

Tak, jest jeszcze kilka departamentów, gdzie chłop pozostał religijnym i słucha potulnie proboszcza. W pozostałej jednak reszcie Francji, włościanin jest dziś sceptykiem, obojętnym na wszystko co nie dotyczy jego interesów.

Otóż nie będzie nigdy tak głupiego rządu rewolucyjnego, któryby obiecał dotykać drobnej własności, konfiskata zaś wielkiej własności na rzecz gminy doprowadziłaby szybko włościan do ocenienia korzyści wspólnoty.

Jeżeliby jutro na murach domów gminnych chłopci ujrzeni proklamację powiadającą: Gmina rewolucyjna zniósła służbę wojskową i podatek gruntowy: chłop wołałby: niech żyje gmina rewolucyjna!...

Żartem jest także patryjotyzm włościan, wyjąwszy chyba miejscowości pograniczne... Chłop nie jest także konserwatystą w tem znaczeniu, jakie się przywiązuje zwykle do tego wyrazu; jest on tylko konserwatystą własnych interesów i dosyć byłoby mu dowieść że interesy idą w parze z rewolucją, ażeby zrobić z niego rewolucjonistę straszego, okropnego, dzikiego.

*Edw. Przew.*

## J A D,

POWIEŚĆ

ALEKSANDRA KIELLANDA

przełożył

A d i n.

(Ciąg dalszy.)

Morten ruszył się leniwie; nie wiedział on więcej od Mariusa, wielki i mały wyglądali równie głupio z oczyma wytrzeszczonemi na tablicę. Nagle Mortenowi zaświtało coś w głowie, mechanicznie włożył rękę do skrzynki z kredą, żeby coś napisać, jakkolwiek trzymał już w ręku spory kawał kredy.

— Dobrze robisz Morten — zawołał nauczyciel, który zauważył ten jego ruch. — Niczego ci więcej nie brakuje tylko kredy. Weź skrzynię z kredą w ręce, gąbkę do kieszeni a linję w zęby, a wtedy z pewnością będzie dobrze. Ach Morten Morten, jesteś głupi i z każdym dniem bardziej głupiejesz!

Promyk w głowie Mortena zagasł; kłął tylko z cicha pod nosem, ale tak, że Marius wszystko słyszał. Klasa zachwycała się tą sceną, a primus

śmiejąc się do rozpuku, z uwielbieniem patrzył na katedrę.

— Trzeba zawezwać ostatnią rezerwę — rzekł nauczyciel i wywołał jeszcze czterech „niemych“ którzy nie mieli pojęcia o matematyce. Wspólnym usiłowaniom udało się wreszcie rozwiązać kwestję co do uczeni Pytagoresa, Marius, który usunął się był na bok, musiał znów wystąpić, odczytać raz jeszcze zadanie i przyznać że X znać było tym razem 72.

— Teraz — rzekł Abel — operować będziemy masami, jak Napoleon. Zgromadziliśmy to doborowe wojsko, pyszny zaiste orszak. Zupełnie jak w teatrze wiejskim, gdzie trzej woźni przedstawiają kwiat szlachty francuskiej.

— Dzieńdobry wam, skąd wzięło się tu was dwadzieścia gęsi? — rzekł lis.

— Niema nas dwadzieścia, gdyby jednak było nas jeszcze raz tyle, a potem jeszcze połowa a wreszcie  $1\frac{1}{2}$  gęsi i jeden gęsior, to byłoby nas dwadzieścia.

— Ileż więc było gęsi, Morten?

Ale ani Morten, ani żaden inny z niemych nie myślał wdawać się z gęsiami, a kiedy pan nauczyciel osądził, że komedja trwała dość długo, zawołał:

— Idźcie do domu i połóżcie się spać. Wszyscy jak tu jesteście, po bratersku otrzymacie wasze „niedostatecznie“ a jeżeli chcecie słyszeć mój sąd o waszej przyszłości, to powiem wam, że nie sądzę żebyście się w życiu do czego przydali, chyba do wyłęgania jaj; tylko ty Morten doprowadzisz może jeszcze do pomocnika organisty. Abraham Loevdahl, chodź ty tu!

Marius wróciwszy na miejsce widział jak Abraham pytanie co do gęsi szybko napisał, mianowicie:  $2X + \frac{1}{2}X + 2\frac{1}{2} = 20$ , ale był on za nadto przygnębiony żeby się dziwić, zanadto smutny z powodu złej klasy, która kwestjonowała jego przejście do następnej klasy i myślał o zgryzocie jaką sprawi tem matce.

Była godzina dwunasta, a stara kobieta, która sprzedawała uczniom precele, stała już na schodach. Czwarta klasa łacinników przechadzała się po swojej linii na korytarzu, a uczniowie trzeciej stali w grupach i zajadali śniadanie, młodszy natomiast — szczęśliwcy, u których szkoła kończyła się o dwunastej, z hałasem i krzykiem schodzili ze schodów.

Marius stał zupełnie sam na uboczu i gryzł precel, nie troszcząc się wcale o to, że malce przechodząc, obdarzali go najrozmaitszemi przezwiśkami; w głowie mu było pusto i próżno, a jeszcze

miał przed sobą dwie godziny szkoły. Wprawdzie była to łacina, przed którą nie miał obawy, ale ostatnia godzina matematyki zbiła go zupełnie z tropu. Morten i inni „niemi“ nie wiele sobie robili z szyderstwa nauczyciela Abła, ale Marius miał słuch na to ostry, nieraz słyszał jak jego nieprzyjaciecie chcąc go złościć przezywali jego matkę, chociaż przezwisk tych nie rozumiał, jednak za każdym słowem krew w nim wrzała.

— Co za osioł zapalił tu tak mocno? — zawołał wchodząc do klasy adjunkt Aalbom, w klasie nie było już wprawdzie gorąco, ale rektor rozpowiadał mu o tem.

— To pewnie ty gruby wielbłądzie, co?... Gdzież mamy rozpocząć dziś? A prawda, wiersz 122 — *quas deas* — zaczynaj Guttwald! Czytaj głośno!... Cóż znowu, czy to u ciebie głośno? *Quas deas per terras!* Otwórz że przecież gębę! Ryjesz jak kret ty przebrzydły bachorze!...

W ten sposób zaczynał adjunkt zwykle lekcję, szczególnie w ostatnich godzinach kiedy już przetem, złoszcząc się od rana, był nerwowy i rozdrażniony.

Klasa drżała przed burzą, a Marius trzęsąc się cały czytał dalej, wśród ciągłego wymyślenia, że nie dość głośno krzyczy.

Nieszczęściem dla Mariusa było, że w dwóch poprzednich latach uczył się łaciny pod rektorem, adjunkt Aalbom bowiem nie chciał przyznać, że rektor małego Gottwalda tak wykształcił; z drugiej jednak strony bał się by mu rektor nie czynił wyrzutów, że pod jego kierownictwem Marius nie postępuje. Dlatego też wymagał od niego jaknajwięcej, nie zdobywszy się nigdy na słówko pochwały.

Adjunkt spacerował po klasie wzdłuż i w szerz czyhając na błąd jak drapieznik; był on nadmierne wysoki, chudy i krótko widzący, a uczniowie nie nazywali go inaczej jak padalcem. Marius natężył się i wyszedł jako tako, ale kiedy skończył, tak był zmęczony, że prawie omdlewał.

Lekeja przeszła wśród ciągłego przerywania i wymyślenia a nadeszła następna godzina, przeznaczona do ćwiczeń stylistycznych. Aalbom zadał temat ze zbioru ćwiczeń łacińskich, usiadł na katedrę i balansując nogami patrzył w powietrze.

Siły uczniów były wycieńczone, brakło już wszelkiej do pracy ochoty, pisali za ledwie na chybił trafił, nie wyłączając nawet Mariusa. Wreszcie jednak szkoła skończyła się i umęczeni chłopcy pospieszyli do domu, radując się, że do poniedziałku będą wolni. Jakże dobrze smakować im będzie sobotni obiad, równy w każdym domu:

śledzie, słodka zupa i naleśniki! Powietrze wypogodziło się pod wieczór mimo mrozu wszyscy pospieszyli na spacer. Czwarta klasa łacinników przechadzała się z dorastającymi dziewczętami, młodszy zaś uczniowie chodzili w grupach, śpiewali i potracali starszych. Abraham i Marius spacerowali jednak wzięwszy się za ręce i pogardzali wszystkimi. Czasami tylko stawał Abraham i groził pięścią w kierunku spokojnego mieszkania pastora Sparre, gdzie jak wiedział telegrafista siedział przy swojej bogdance.

Na wieczór Marius<sup>o</sup> proszony był do Abrahama, którego rodzice poszli gdzieś w odwiedzinę. Chłopcy mogli zatem bujać po całym domu, a na kolację dostali grzane piwo i kielbasę. Na jutro żadne zadanie, nie do uczenia się! Co za rozkosz! można spać do dziesiątej!

A przecież niejedyn w niedzielę rano napół śpiąc, trapił się myślą że trzeba już wstać i iść do szkoły nie nie umiając, zrywał się z pościeli, a dopiero przypomniawszy sobie, że to niedziela, prędko zniknął znów pod kołdrą. Czyż można kiedy zapomnąć jak to było pięknie?

#### Rozdział czwarty.

Oddawna istniał plan założenia w pobliżu miasta fabryki. Miałaby to być filja wielkiego angielskiego zakładu dla wyrobu sztucznego nawozu. Przedsiębiorcy chcieli jednak wciągnąć w to także miejscowy kapitał a że w mieście nie chciano jakoś zrozumieć tego interesu, przysłali biegłego w zawodzie męża, który miał z ludźmi się rozmówić wyjaśnić im szanse zysku i zakupić stosowne na fabrykę miejsce. Z tej okazji u rodziców Abrahama sproszone było liczniejsze grono osób.

Obcy, który nazywał się Michał Mordtman, jak prawie każdy obcy, przybył zaopatrzonej w rekomendację do profesora Loevdahla. Profesor znał go zresztą cokolwiek z uniwersytetu. Mordtman, w swoim czasie rozpoczął studjum medycyny następnie na wpół przypadkiem przybył do Anglii, gdzie dzięki stosunkom ojcowskim poznał się z rodziną, która posiadała znaczne chemiczne fabryki. Zupełnie niespodziewanie zaprezentowano mu tam korzystną posadę, którą przyjął i przez kilka lat pozostał w Anglii. Później dowiedział się, że ta zmiana w jego zawodzie nie odbyła się całkiem tak przypadkowo jak sobie wyobrażał.

Ojciec jego uprawiał w Bergen wielki spekulacyjny interes i obracał ogromnymi kapitałami, nikt jednak nie wiedział czy posiadał jaki majątek. Był on żywym spekulatywnym kupcem, któremu nie bardzo się podobało, że syn obrał zawód le-

karza. Ale Mordtman umiał być cierpliwym i oczekiwać sposobnej chwili. Nie sprzeciwiał się więc planom syna, aż nie namówił go do podróży do Anglii, gdzie poprosił owego właściciela fabryki, ażeby zaproponował synowi posadę. W ten sposób udało mu się zrobić z syna praktycznego chemika i dzielnego kupca, zamiast żeby biedował jako lekarz okręgowy, gdzieś daleko w górach.

Michał Mordtman, przeznaczony został do założenia nowej fabryki i do kierowania nią. Ojciec jednak czyli firma „J. Mordtman i Spółka,“ nie mógł wielkiego oddać na to kapitału; angielska firma, która według prospektu zakładała fabrykę jako filję, zachowywała się ostrożnie, dlatego też szło o to żeby największą część kapitału wyszukać w samym mieście, gdzie znaleziono znakomity teren.

Takiem było zadanie Michała Mordtmána, zadanie, do którego w zupełności się nadawał. Angielska sztywność nadawała mu pozór poważny i budzący zaufanie, wskutek czego wiele osób niezających zupełnie tego przedsiębiorstwa, okazywało ochotę włożenia kapitałów.

Profesor Loevdahl bardzo ostrożnie operował swojemi pieniędzmi. Kupował w Kopenhadze zagraniczne akcje i papiery wartościowe i z majątku swojej żony jak najmniej lokował w krajowych interesach. Kupcy zanadto pomiędzy sobą związani byli pożyczkami, podpisami i kaucjami, dlatego też profesor nie miał najmniejszej ochoty wdawać się z światem handlowym. Przy ogromnym majątku swojej żony, łatwo by mu było zajęć pierwszorzędne w kupiectwie stanowisko, ale profesor nigdy nie pokusił się o to. Pobierał odsetki i w cichości krajał kupony; wiedziano ogólnie jak wielkim był majątek zmarłego Abrahama Knorra, wiedziano, że profesor wycofał go z Bergen, ale nikt nie wiedział jak i gdzie go ulokował. Michał Mordtman miał też z nim nie lada kłopot. Przedsiębiorstwo miało do pewnego stopnia cechę naukową, coś jakby z chemji lub medycyny, a w każdym razie z całego miasta jeden profesor Loevdahl mógł je jako tako zrozumieć. Jak długo więc profesor trzymał się w rezerwie, rzecz nie mogła się udać. Mimo to Mordtman był u niego częstym gościem, a wreszcie nawet profesor po 14 dniach jego pobytu w mieście, sprosił liczne towarzystwo, ażeby go z wszystkimi poznać.

Pani Loevdahl była co do Mordtmána rozczarowaną. Był on o kilka lat od niej młodszy, mimo to pamiętała bardzo dobrze, że w domu w Bergen, uchodził dawniej za zapaleńca narodowego

że występował jako mowca za emancypacją kobiet, za ludem i interesami ludowymi.

A oto teraz powrócił jako sztywny Anglik, którego jedynym zajęciem była rozmowa o sódzie i nawozie. Po pierwszej rozmowie osądziła, że Mordtman był nudnym i w stosunku do swego wieku nieskończenie sztywnym Anglikiem.

Dziś dopiero zauważyła, że wśród tych tuzinkowych figur, które znała do przesyty, ten sztywny Anglik wyróżniał się bardzo korzystnie. Przy stole towarzystwo było bardzo nudne i poważne: przyszli sami tylko panowie, po części nawet tacy, którzy nigdy w domu nie bywali, których znajomość jednak mogła się przydać Mordtmanowi. Profesor był żywym i uprzejmym jak zwykle, wypił zdrowie swego gościa i życzył mu powodzenia w przedsiębiorstwie, które obiecuje wielkie dla miasta korzyści. Wszystkiemu wydawało się jednak dziwnem, że profesor dotychczas nie subskrybował ani jednej akcji na to — zdaniem jego — tak pewne i rentowne przedsiębiorstwo.

Czuł to i Michał Mordtman. Pijąc na podziękowanie, próbował tonu żartobliwego, wspominał o powolności i przesadnej ostrożności krajowców, a zakończył wyrażeniem nadziei, że skoro raz zaczną, wszystko pójdzie jakby pędzone parą.

Mowa ta byłaby bardzo dobrze przyjętą w Bergen, pani Loevdahl śmiała się też, ale sama jedna. Ci zaś starzy żeglarze i kramarze nie mieli najmniejszego zmysłu dla humoru i dowcipu i ze zdziwieniem spoglądali jeden na drugiego.

Michał Mordtman wstając od stołu, czuł że stracił teren i postąpił nieostrożnie.

Kiedy odwiedzał tych ludzi w ich ciemnych kantorach nie większych od szafy i w cztery oczy z nimi rozmawiał, sam stawał się poważnym i mówił z nimi poważnie. Ale tu przy stole siedząc i popijając wino, odezwała się w nim bergenska porywczosć, pod której wpływem zaimprovizował humorystyczną mowę. Po niewczasie dopiero zrozumiał, że lepiej byłoby zachować ton suchy i poważny.

Dom, który zamieszkiwał profesor Loevdahl był bardzo duży i starożytny, od tyłu jakkolwiek położony w śródmieściu, miał on ogromny ogród. Profesor odkupił dom ten od miasta, przedtem odbywały się w nim rozmaite publiczne zabawy i uroczystości. Pokoje były duże i wysokie, to też stare, przez profesorową z Bergen przeniesione urządzenie doskonale się do nich nadawało.

Dzisiaj z powodu że było przeszło 50 osób, użyć musiano całego mieszkania, nie wykluczając nawet pokoju profesora. W tym pokoju zebrałi

się panowie na cygara, a dym przechodził przez wszystkie pokoje, tylko salon profesorowej ochroniony był portjerą. W salonie siedziała pani Loevdahl i nalewała kawę. Niektórzy panowie grali w karty, inni po kawie spijali grog, a jeszcze inni debatowali nad cenami soli, lub mówili o nowej fabryce. Michał Mordtman zły kręcił się po pokojach, miarkując z wszystkiego, że palnął głupstwo. Ta myśl trapiła go nadzwyczajnie. Dopiero przed kilku dniami pisał ojcu że ma jaknajlepsze widoki. Miałaby teraz dożyć upokorzenia, że przez brak taktu w towarzystwie odstraszył ludzi od siebie?

Podczas pobytu w Anglii Mordtman duszą i ciałem stał się kupcem. Śmiał się na samo wspomnienie, że ongi był zapalonym narodowcem i że ideałem jego było żyć z ludem i dla ludu! Komfort angielski i zbytek który go otaczał zmieniły kierunek jego smaku i odwróciły go od ludu. Cokolwiek miał w sobie życia i natchnienia, wszystko to jak u ojca zmieniło się w manję spekulacji w dążenie do majątku i do wielkiego zakresu działania. Z drugiej strony widząc, że sam już teraz uczuwał pogardę dla wszystkiego tego, czem entuzjazmował się do dwudziestego piątego roku życia, stracił wszelkie zaufanie do silnych namiętności i stał się zimnym wobec kobiet. Z ojcem był teraz na najlepszej stopie, wspólnie wymyśleli ten plan założenia fabryki, syn zostać miał dyrektorem, ojciec dysponentem i komisjonerem dla owej firmy angielskiej, widoki na zysk były bardzo znaczne, ale jeżeliby mimo to okazała się strata, trafiłaby tylko obcy kapitał. Ale cóż robić kiedy ten obcy kapitał niecheiał się angażować.

Michał Mordtman odrzucił cygaro, wypił szklankę grogu i poszedł do pokoju profesorowej. Około niej usiedli panowie, którzy nie palili i zabawiali się rozmową. Byli to przeważnie urzędnicy, bliżsi przyjaciele domu, którzy dziś w mieszanem towarzystwie, nie czuli się zadowoleni.

— Dziękuję panu za mowę, panie Mordtman — zawołała profesorowa uprzejmie: Mordtman skłonił się sztywnie i popatrzył na nią niedowierzająco. Usiadł w kącie przy stoliku i zaczął przeglądać album, podczas gdy towarzystwo wróciło do przerwanej rozmowy.

— Na tym punkcie nie mogę ustąpić panie rektorze — rzekła profesorowa — mówisz pan, żebym się uspokoiła i miała nadzieję.

— Przepraszam, łaskawa pani, tak się nie wyraziłem. Powiedziałem, że jeżeli nauka i duchowy rozwój dziecka powierzony zostaje mężom, którzy znajomość rzeczy i doświadczenie łączą

z rzetelną chęcią, rodziny muszą spodziewać się i wierzyć, że dziecko przy Bożej pomocy, w do-  
brych znajduje się rękach.

— Ale któż ręczy mi za szczerą chęć i  
wszystkie owe przymioty?

— Za to ręczy państwo, system naukowy  
kraju i oględność rządu. Wierzą mi pani, że sy-  
stem naukowy naszego kraju, mierzyć się może  
z każdym innym w Europie, a pod względem re-  
ligijnym i etycznym, przewyższa nawet wszystkie  
inne...

— Jeżeli ja jednak własnymi oczyma widzę,  
że rzecz ma się odwrotnie, ale to zupełnie odwro-  
tnie, cóż mam robić?...

Wszyscy śmiali się z zapału profesorowej,  
a ona śmiała się z nimi, chociaż to co mó-  
wiła, było rzeczywiście jej przekonaniem.

— Jesteś pani bardzo ostrą — odrzekł re-  
ktor z uśmiechem, wypełniając starannie nos ta-  
baką — właśnie jest nas kilku pedagogów i wszyscy  
musimy czuć się bardzo winnymi.

— Przepraszam panów jaknajmocniej, nie  
pomyślałam wcale o tem — rzekła profesorowa  
patrząc na wszystkich z kolei z wyrazem szcze-  
rości — to nieszczęśliwa bergeńska porywczosć,  
jak mówi mój mąż. Jak co pomyślę, to zaraz  
muszę się też z tem wygadać, a nasz system  
szkolny, nie od dzisiaj wydaje mi się bardzo wa-  
dliwym.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## Dramat muzyczny.\*)

Przyczynek do filozofii piękna i sztuki

przez

Rajmunda Baczyńskiego.

Jak wiadomo świat muzyczny rozpadł się w osta-  
tnich lat dziesiątkach na dwa nieprzyjazne sobie obozy.  
Hasłem jednego stał się konserwatyzm, według  
niektórych klasycyzm, hasłem drugiego postęp  
w imię „muzyki przyszłości“, jak o nim powiadają zwy-  
kle drwiąc zwolennicy pierwszego. Faktem jest że ta  
najsakrajniejsza romantyczność, zarówno jak i ów pseudo-  
klasycyzm do tego stopnia pomieszały dziś wszelkie po-  
jęcia o muzyce w ogóle, a zwłaszcza o muzyce dra-  
matycznej — o którą nam tu przeważnie chodzi —  
o jej uprawianiu w ogólności o jej kwestjach zasa-

dnicznych i technice w szczególności, że nawet ludzie  
zakładają olbrzymiej powagi używający, najdziwniejsze  
rzeczy o tem prawili i po dziś dzień prawią.

O całym tym ruchu i przewrocie muzycznym do-  
szły do naszej biednej Polski li tylko głuche, niedo-  
kładne, błędne, częstokroć złośliwe nawet wieści. Wogóle  
my Polacy za mało dbamy o muzykę w kraju, a cóż  
dopiero byśmy się zajmowali stosunkami świata muzy-  
cznego, lub nawet jakikolwiek udział brali w obja-  
wach życia muzycznego, w jego prądach, dążeniach  
lub reformach. Wystarczy, że jeden lub drugi najczę-  
ściej wcale do tego nie powołany odezwie się o czem  
ze swoim zdaniem niestrawionem za granicą, aby ono  
stało się wkrótce odbitką sądów i poglądów całego  
kraju, wystarczy że bardzo uczone i zarozumiałe pro-  
fesor w słusznej zresztą obawie, by się nie poznało na  
jego jednostronnem ukształtowaniu, ignoruje konsekwen-  
tnie wszystko, co mu obce, a ślepo idzie za nim ogół,  
jak za panią matką; a jeśli i nie brak ludzi obdarzo-  
nych talentem, iskrą uczucia i poważaniem dla sztuki,  
a nadto zdrowym rozsądkiem i zamiłowaniem dla pra-  
wdy (warunków niezbędnych dla prawdziwego artysty),  
to stoją oni zazwyczaj pod obuchem trosk nagiej rze-  
czywistości i szczęśliwi są, skoro mogą odetchnąć po  
ciężkiej całodziennej pracy, albo jeśli w najlepszym  
razie wypłyną na jakie takie lepsze stanowisko, brak  
chęci i czasu trzyma ich zdala od niebezpiecznej drogi  
narażenia się opinii publicznej.

Lecz nie poruszajmy tej ciemnej strony w sfe-  
rach naszego życia duchowego: nie pomogą bowiem  
żadne narzekania i perswazyje zewnątrz, skoro jak się  
zdaje potrzeba usunięcia złego nie tkwi w samym za-  
rodku; w nas samych.

Otóż dzięki jednak tym istniejącym stosunkom,  
nikt prawie nie wie dokładnie u nas, na czem właści-  
wie polega prąd rewolucyjny Wagnera, w ogóle czem  
jest owa okrzyczana „Wagnerowska muzyka“. Zdania  
muzyków o tym przedmiocie brzmią najczęściej nieja-  
sno z zachowaniem pewnej rezerwy, zaś ogół rozpo-  
wiada o tem najpotworniejsze dziwołagi i niestworzone  
rzeczy. Ponieważ nie zdarzyło mi się z literackiej strony  
u nas nigdzie spotkać się ze zdaniem jasno i trzeźwo  
omawiającem ten przedmiot, gdyż o ile mi wiadomo  
najlepsze pióra uległy uprzedzeniu lub porwać się dały  
namiętności, więc zmuszony będę częściej zatrzymywać  
się przy Wagnerze, niżbym tego pragnął ze względu  
na rzecz samą...

Wagner podzielał na rozwój dramatu muzycznego  
jak piorun czyszczący powietrze. Jak każdy nowator i  
reformator przekracza on często miarę w tym lub owym  
kierunku, ale genialności nikt mu dziś zaprzeczyć nie  
zdoła. Błędy Wagnera są daleko liczniejsze aniżeli  
jego zasługi, ale czyż to dowodzi przeciw niemu? Czyż

\*) Pod tym samym napisem umieszczało „Echo mu-  
zyczne“ w zeszłym roku moje poglądy ogólne na niektóre  
techniczne strony dramatu muzycznego; patrz Nr. 142 i na-  
stępne.

imię jego stałoby się tak głośnem, gdyby doniosłość jego muzyki była bez znaczenia, czyż w ogóle mógłby on liczyć tak olbrzymie zastępy przeciwników, na czele których najbardziej uderzali na niego muzycy, gdyby ei właśnie nie mieli do tego właściwych powodów, powiedzmy bez ogródki, gdyby Wagner nie zagroził ostateczną ruiną ich spróchniałej i bezużytecznej działalności muzycznej?

Przez kilka dziesiątek lat zawzięta wraza walka między starym oudlewającym a burzliwym nowym żywiołem; z obu stron posypał się grad książek, broszur i rozmaitych pism szkolnych w niebываłej dotąd w literaturze ilości z wielką dla samej muzyki korzyścią ale i nie mniejszą jej szkodą. Największą może szkodą tak sztuce jak i samemu Wagnerowi wyrządzili jego najgorliwsi zwolennicy, którzy zaślepieni namiętnością, przeszli mistrza swojego w najśmielszych jego żądaniach i pragnieniach. Byli to najczęściej ludzie bez wyższego wykształcenia (o wszechstronnem ich mistrza już nie mówiąc), jednostronni muzycy bez wybitnego talentu, którzy w przyklaskiwaniu Wagnerowi spodziewali się dla siebie osiągnąć sławę, jakiej niepodobna im było dobić się samoistnie.

Dzisiaj gdy i sam mistrz w ziemi spoczywa i walka znacznie ucichła, nadszedł stosowny czas dla bezstronnej krytyki, by móc spokojnie zastanowić się nad wynikiem dążeń wagnerowskich dla sztuki. Żaden filozof dziś Wagnera pominąć nie może, żywo się nim zajmuje i jego teorjami cały świat uczony w jakimkolwiek bądź związku z muzyką i z dramatem stojący.

Przedewszystkiem zaś estetyka najnowsza żywo Wagnerem jest zaprzątnięta. nie tylko otrzymała ona od niego pochop do rozpamiętywania nad kwestjami czysto muzycznymi, ale łamie sobie głowę nad związkiem i pokrewieństwem poszczególnych sztuk do siebie, aby stąd dojść do wyniku, które sztuki i pod jakimi warunkami mogą łączyć się, w celu osiągnięcia wyższego estetycznego efektu.

Nikt może nie jest większym przeciwnikiem estetycznych wywodów, jak właśnie artyści sami, a między nimi znowu muzycy z największą pogardą spoglądają na wszelkie umiejętne traktowanie swej sztuki i jej rzeczy. Chociaż łatwo ośmieszę się w oczach tych ostatnich, to wyznam jednak otwarcie, że jakkolwiek i ja uczuwam w sobie piękno i we właściwy je sobie sposób pojmuję, to jednak z zamilowaniem oddaję się w wolnych chwilach estetyce. W powszechnem dzisiaj zamieszaniu twórczości muzycznej konieczną jest dla muzyka rzeczą poznać jasno prawdziwe cele, do których fantazja twórcza zmierzać winna, jeśli nie mają być przekroczone właściwe granice sztuki. Z drugiej zaś strony właśnie muzyka rzeczą jest pilnować panów estetyków; gdyby bowiem według ich woli szło na tym

świecie, to nie wiem, czybyśmy muzycy nie byli muszeni przyznać, że świat cały przez setki lat zostawał przez nas okłamywany i że muzyka jest w ogóle zupełnie czem innym, aniżeli jak tem co o niej do dziś dnia utrzymywaliśmy, jak nas o tem pouczyć może np. Schasler, jeden z najgenialniejszych zresztą estetyków współczesnych.

Nawiasem mówiąc Schasler jak wielu innych współczesnych estetyków niemieckich z tych najznakomitsi Lazarus, Byk, Wojciech Krause należą do najgorliwszych przeciwników Wagnera. Ale są oni z tego powodu, jak niemniej Hanslick, Riehl i Gumprecht dla nas bardzo ciekawemi zjawiskami: Naprzeciw nim nie będąc stawał zwolenników Wagnera ani też poglądy francuzkich i angielskich estetyków. Ci bowiem, podobnie jak u nas, tylko z innych nieco powodów, nie zapoznawszy się należycie z wagnerowskimi ideami niejasne mają o nich pojęcia, ograniczę się tylko na niektórych trafnych ich uwagach, dotyczących w ogóle dramatycznej muzyki. Pierwszych zaś to jest zwolenników uważam za zbyt licznych, gdyż Wagner sam jaśniej od nich wypowiedział czego chce.

Jedno z najważniejszych zagadnień estetycznych jest, czy w ogólności dramat muzyczny, a raczej opera w swojej dotychczasowej formie, ma uprawnienie w sztuce, a jeśli ma, jakim być powinna. Pytanie to nie jest bynajmniej nowem, stawiali je sobie już dawno filozofowie rozpoznawając wadliwy ustrój opery, polegający na wprost przeciwnem użyciu jej środków i celów. I chociaż w teorji wręcz przeciw uprawnieniu opery w sztuce powstawali, to przecież zmuszeni byli uznać ją w praktyce z mniejszemi lub większemi zastrzeżeniami. Byli zmuszeni, powtarzam, wobec ogromnego rozwielenienia się opery i wobec pielęgnowania tej formy przez największe genjusze muzyczne.

Jednakowoż niesłychaną to rzeczą pozostanie na zawsze w historii filozofii, że ona prawdy dociekszy starała się wywinąć z trudnej gmatwaniny w drodze dyplomatycznej, miasto przeciąwszy ten węzeł gordyjski raz na zawsze zaprzeczyć operze miejsca w rządzie sztuk.

Ale nie tylko filozofowie byli przeciwni operze, u zdrowych muzyków panowało i panuje do dziś dnia do niej pewne uprzedzenie, a znaną jest rzeczą, że nawet najzapaleńsi przeciwnicy Wagnera jak Hanslick i inni niemniej wrogo byli usposobieni w obec opery zwłaszcza nowoczesnej.

Zanim jednak przystąpimy do ostatecznego rozwiązania owego estetycznego zagadnienia — to jest do uprawnienia dramatu muzycznego — koniecznem jest wprzód obiektywne obznajomienie się z operą, tak jak ona w swojej historii się przedstawia.

W szesnastem stuleciu urodziło się na książęcych pokojach we Włoszech owe dziecko pańskie, które znu-  
dzivszy sobie wkrótce duszne sfery rodzinne, przymiliło  
się światu całemu i zostało przezeń z radością powita-  
ne i przyjęte. Jednakowoż poród dziecka wypadł nie-  
szczęśliwie. Wbrew zdaniu in corpore sano mens sana,  
miało to dziecko duszę piękną i zdrową, ale ułomne  
ciało. Najznakomitsi lekarze nie zdołali dziecka uleczyć  
mimo wielkich usiłowań i zabiegów, i tak pędziło ono  
swoją żywot wśród przeróżnych chorób fizycznych i po-  
dziś dzień zestarzawszy się, męczy się jeszcze nie mo-  
gąc doczekać się śmierci, dzięki nieszczęsnej swej silnej  
duszy. Dzieckiem tem jest opera — jej ciałem poezja a  
muzyka jej duszą.

W rzeczy samej zawdzięcza opera swój początek  
magnatom włoskim, którzy skoro im się kościelna mu-  
zyka Palestyny aprzykrzyła, zwrócili swą uwagę na  
śpiewy ludu. Lud jak zawsze tworzył śpiewy swoje  
w prosty i prawdziwy sposób, to jest śpiewał od serca:  
był równocześnie poetą i muzykiem. W ogóle lud  
(w niezepsutem tego słowa znaczeniu) nigdy nie śpie-  
wa bez słów. O tem jednakowoż arystokracja, trzyma-  
jąc się jak można najdalej od ludu, nie zgola nie wie-  
działa. To co dolatywało do jej palaców zdala i napa-  
wało świeżym urokiem ucho, znużone pedanterją śre-  
dniowiecznej muzyki, była sama tylko melodja, która  
oderwana od słów nie była więcj ową świeżą śpiewką  
ludu ale surogatem sztucznym, wonią pachnidła, nie  
zaś wonią kwiatka świeżego. Tą wonią tedy skrapiali  
śpiewacy, których zadaniem było bawić panów, swoje  
sztuczne kwiaty, tj. wiersze dowolne, według danej  
okoliczności. W ten sposób powstał ów sztuczny suro-  
gat — który po dziś dzień stanowi jeszcze główną pod-  
walinę opery tj. arja. Od samego zatem początku  
istnienia arji była muzyka wszystkim. Nie dbała ona  
wcale o swoją siostrzyczkę poezją mimo to, iż okazy-  
wała przed światem iż bez niej żyć nie może. Ale  
w rzeczy samej była to siostrzyca niedobra, dbająca  
tylko egoistycznie o swoje dobro, a gdy potulna poezja  
wysługiwała się jej jak mogła najlepiej, muzyka której  
nigdy niczego dosyć nie było, zapragnęła cudzimi przy-  
miotami i wdziękami przed światem zablyszec i wy-  
łudziła siostrzyccę najpiękniejszy jej skarb to jest dra-  
mat. Ten tedy dramat użyła do egoistycznych swych  
celów.

Tak zatem powstała opera, a główną jej osią,  
jej formą, jej właściwą istotą, słowem wszystkim była  
arja, ten sztuczny rodzaj śpiewu, jaki dopiero poznali-  
śmy. Jeśli do tego jeszcze dodamy recytatyw, który  
żywcem znowu przeniesiono z używanych naówczas  
w kościelnej muzyce recytacjach ustępów biblijnych,  
stereotypowo wtedy nudnych i banalnych, a wreszcie  
i taniec, który tak się znowu miał do tańców ludo-

wych, jak arja do śpiewów, a otrzymamy gotowy apa-  
rat opery, jakim się do dzisiaj nam przedstawia.

Na pierwszy rzut oka widzimy tedy, że opera jest  
formą, w której muzyka złączyła się z poezją, nie w celu  
złania się z nią w jedną całość, ale zapanowania nad  
nią, i to; jak dalej zobaczymy do tego stopnia, że  
w ogóle dramat był tylko maską, po za którą wolno  
było muzyce robić, eo jej się tylko podobało.

(Ciąg dalszy nast.)

## Pogląd na obecny stan nauki o szczepieniu ochronnem chorób zakaźnych

ludzkich i zwierzęcych  
podt

dr. J. Szpilman.

(Dokończenie.)

Najnowsze badania stwierdziły, że tak zwane cho-  
roby przyrpane, jak róża, zakażenie krwi ropą (ropnica  
Pyaemia), posocznica (zakażenie gnilne krwi, Septica-  
mia), jak i samo ropienie, obumieranie tkanin, gorączka  
pologowa itd. zaliczyć należy do chorób zakaźnych, pa-  
sorzytnicznych, przez dwoinki (bakterje) wywołanych.  
Zarodki tych chorób znajdują się w powietrzu a z tego  
dostają się na powierzchnię ran powodując ropienie i  
inne komplikacje. Niekiedy wystarczy mała ranka na  
skórze lub błonie śluzowej, przez którą zarodki pato-  
geniczne wnikają pociągając za sobą różę, u położnic  
gorączkę pologową itd. Całe dzisiejsze, antyseptyczne  
czyli przeciwnilne postępowanie przy leczeniu ran po-  
lega na uwzględnieniu powyższych rodzajów bakterji.  
Uniemożliwić tymże przystęp do ran, zniszczyć je —  
jest obowiązkiem chirurga-operatora jak i akuszera.  
Ogromny postęp nowoczesnej chirurgii opiera się jedy-  
nie na ściśle i sumiennie przeprowadzonej antyseptycei.  
Śmiertelność u operowanych po bardzo ciężkich opera-  
cyach, o jakich dawniej nie odważono się nawet marzyć  
zredukowała się ad minimum. chorób przyrpanych  
nowsi chirurdzy weale nie znają. Przez zastosowanie  
tych samych zasad w akuszerji procent śmiertelności  
u położnic znacznie się zmniejszył i gorączka pologowa  
pojawia się dzisiaj o wiele rzadziej, zwłaszcza w szpi-  
talach dobrze prowadzonych i higienicznie urządzonych.

Oprócz powyższych jest jeszcze wiele innych cho-  
rób pasorzytniczego pochodzenia, w których zajęty bywa  
jeden tylko narząd albo też kompleks tychże. Mamy  
więc tu do czynienia z cierpieniami lokalnymi poszcze-  
gólnych narządów. Niektóre jednak z tych chorób mogą  
się uogólnić czyli przeistoczyć w chorobę zakaźną ogó-  
lną, przy której współcierpi cały ustrój, jak to ma miej-  
sce przy dyfterji różnych zwierząt, promienicy (Actino

myces) u bydła itd. Do tej grupy chorób należą oprócz powyższych dwóch zapalenie płuc dławcowe, zapalenie wymion, nerek u bydła, nosaczna psia, żoły u koni, zapalenie pyska krostowe (Stomatitis pustulosa), biegunka cieląt, jagniąt, grzybica kiszkowa (Mycosis intestinalis), ospa amerykańska u koni, w końcu cały szereg chorób skóry i wewnętrznych organów spowodowanych przez pasorzyty z rodzaju pleśni.

Żadna z chorób zakaźnych nie wybucha bezpośrednio po zarażeniu się ustroju zarazkiem chorobotwórczym — zawsze upływa pewien czas wynoszący od kilku godzin do kilka dni, miesięcy a nawet dłużej — zależy to od rodzaju choroby — nim wystąpią właściwe pewnej chorobie objawy. Czas ten nazywamy według terminologii naukowej okresem wylegania się, co oznacza perjod, jaki dzieli chwilę zarażenia się od wybuchu choroby. Na mocy teorii pasorzytniczej możemy sobie łatwo wytłómaczyć to zjawisko. Zarodki pasorzyta dostawszy się do soków ustroju rozwijają się w tychże prędzej lub powolniej — a objawy chorobowe wystąpią dopiero wtedy, gdy pasorzyt w ilości dostatecznej do wywołania choroby się rozmnożył. W niektórych chorobach okres ten trwa bardzo krótko np. w karbunkule, który zabija zwierzęta w 24 — 48 godzin, w innych zaś, jak we wścieklicznie rozwój zarazka jest bardzo powolny i dla tego choroba ujawnia się dopiero po dłuższym czasie.

Niektóre choroby zakaźne występują tylko u pewnych gatunków zwierząt np. zaraza płucna wyłącznie u bydła rogatego, nosaczna u zwierząt z rodzaju koni, inne zaś choroby mogą występować u zwierząt różnego gatunku np. wąglik, wściekliczna, gruźlica itd. Oporność ustroju przeciw pewnej chorobie zwiemy niezakaźnością (immunitas), przyczem rozróżniamy niezakaźność gatunkową, indywidualną i nabytą. O gatunkowej niezakaźności wspomnieliśmy powyżej i odpowiednie przykłady przytoczyliśmy. Co się zaś tyczy indywidualnej niezakaźności, to wiadomą jest rzeczą, że tak między ludźmi jak i zwierzętami zdarzają się osobniki bardzo odporne, u których pomimo styczności z chorobami i gatunkowej skłonności dana choroba pod żadną formą nie występuje. Są ludzie niewrażliwi np. na zarazek cholery, tyfusu, ospy itd., jakkolwiek w ogólności choroby te rodzajowi ludzkiemu są właściwymi. Ta oporność zawisła po części od wieku, stopnia odżywienia, sposobu karmienia, po części zaś od bliżej nam nieznanych czynników, jak składu chemicznego soków itd.

Co do zwierząt, to wspomnieć możemy, że np. owce berberyjskie okazują większą oporność przeciw wąglikowi, ospie, niż owce europejskie, świnie angielskie rasy Yorkshire są oporniejsze przeciw róży niż nasze krajowe. Znane są nadto wypadki, że pomimo oporności pewnego gatunku zwierząt niektóre indywidualnie zapadają na jedną z chorób zakaźnych. N. p. psy doro-

śle opierają się wąglikowi, młode zaś do 6 miesięcy łatwo tej chorobie ulegają; u nierogacizny wąglik bardzo rzadko się zdarza a nawet po szczepieniu trudno daje się wywołać, pewne jednak osobniki łatwo zarazek ten przyjmują. W takim razie mówimy o indywidualnej dyspozycji.

Brak skłonności do pewnych chorób może także pochodzić ztąd, iż zarazek nie może się rozwinąć albo też wniknąć do soków ustroju. U człowieka, którego żołądek prawidłowo funkcjonuje nie ma dla zarazka cholery odpowiedniej gleby; jeżeli jednak wystąpią u człowieka zboczenia w trawieniu (katar żołądka), to prątki przecinkowe cholery znajdując przyjazne warunki do rozwoju szybko się rozmnażają i w krótkim czasie przychodzi do wybuchu choroby. Gruźlica łatwiej występuje u ludzi dotkniętych chronicznym katarzem oskrzeli lub też po zapaleniu płuc, aniżeli u ludzi ze zdrowymi płucami, w których zarazek (prątek) gruźlicy nie znajduje odpowiedniego gruntu do swojego rozwoju.

Jedne z chorób zakaźnych raz tylko w ciągu życia u człowieka lub zwierzęcia występują, inne zaś kilkakrotnie mogą u tego samego osobnika się pojawić jak np. róża, difterja, zapalenie płuc itd. Do chorób nie recydujących, nie powracających należą z ludzkich: ospa, odra, szkarlatyna, tyfus; ze zwierzęcych: ospa owcza, zaraza płucna u bydła, księgosusz itd. Jednorazowe przebycie choroby chroni na dalszy ciąg życia od ponownego wybuchu tej samej choroby czyli innymi słowy pozostaje po przebyciu zarazy u danego indywidualum niezakaźność nabyta. Dla wytłómaczenia tego stanu posiadamy wiele teorii, z których jednak żadna nie uzyskała jeszcze w nauce prawa obywatelstwa. Jedni badacze sądzą, że w ciągu choroby skutkiem procesów chemicznych, jakie powodują grzybki chorobotwórcze w sokach i komórkach ustroju, pozostają w tychże pewne chemiczne zmiany uniemożliwiające w przyszłości nawrót choroby. Zdaniem innych zarazek w czasie choroby wyczerpał wszystkie dla siebie potrzebne składniki, skutkiem czego nie znajduje on później odpowiedniej dla siebie gleby. Zmiany w sokach i komórkach ustroju muszą być w każdym razie znaczne i trwałe, skoro pomimo odmowy i przemiany materii oporność ustroju tak długo się utrzymuje.

Niezakaźność może być także wrodzoną. Skutkiem przebywania w okolicy znanej z pewnej zarazy, ludzie lub zwierzęta przyzwyczajają się do tejże i oporność swoją przekazują potomstwu. W niektórych okolicach panuje endemicznie cholera, zimnica, tyfus; obcy wkrótce po przybyciu bardzo łatwo zapadają na jedną z tych chorób, a przebieg choroby jest u nich zazwyczaj bardzo gwałtowny, podczas gdy tubylcy albo wcale nie podpadają zarazie albo też choroba przebiega u nich bardzo łagodnie. Mieszkańcy owych okolic znajdując się w oto-



czeniu przepelnionem zarodkami chorobowemi wchłaniają takowe powoli, skutkiem czego komórki ustroju (ciałka białe krwi) przyzwyczajają się do tego jadu i nabywają oporności. Tak samo się ma rzecz ze zarazami zwierzęcemi. Nasze bydło bardzo jest wrażliwe na księgosusz i z małym wyjątkiem ginie na tę chorobę, podczas gdy na stepach rosyjskich, gdzie ta choroba jest enzoootyczna, księgosusz przebiega łagodnie.

W związku z niezakaźnością nabytą pozostaje szczepienie ochronne, liczne bowiem spostrzeżenia stwierdziły, że przebycie pewnej choroby zakaźnej o łagodnym przebiegu zabezpiecza od tejże samej choroby, ale silniejszej formy. Wywołując więc sztucznie przez szczepienie ową łagodną a podobną chorobę chronimy człowieka lub zwierzę takiejże samej choroby zazwyczaj niebezpiecznie bo śmiercią się kończącej. Za przykład posłużyć nam może szczepienie ludzi krowianką tj. płynem (limfą) zebrany z krost ospowych występujących niekiedy na wymieniu krów. Wszczepienie człowiekowi zarazka ospy krowiej chroni go na lata od strasznej plagi, jaką jest ospa ludzka, choroba zazwyczaj śmiertelna albo w najpomyślniejszym razie zeszczenie twarzy lub inne kalectwo jak ślepotę za sobą pociągająca.

W ostatnich czasach dzięki badaniom Pasteura rozpoczęto we Francji na wielką skalę przeprowadzać szczepienie ochronne zapomocą w różny sposób zmitygowanych czyli osłabionych zarazków przeciw różnym chorobom zakaźnym jak np. przeciw węglikowi, róży u trzody chlewnej, cholery drobiu, zgorzeli trzuszczącej, wścieklicznie ludzi. Pierwowzorem pozostanie na zawsze zapobiegane szczepienie krowianką przeciw ospie ludzkiej.

Nad praktyczną doniosłością owych we Francji tak zachwalanych metod ochronnego szczepienia przeciw różnym chorobom zakaźnym dziesiątkującym nasz inwentarz zastanowimy się w dalszym ciągu, przy czem staraniem naszym będzie wyświecić całą sprawę ze stanowiska naukowego, ściśle obiektywnego, bez uprzedzenia, bez zachwytu. Nie wątpimy, że nasi hodowcy byłiby wolni od trosk, gdyby mogli przez szczepienie ochronić swój inwentarz koni, bydła, owce, trzodę chlewną od wszelakich chorób zakaźnych. My zaś nie będziemy się na tę sprawę sangwinicznie zapatrywali i sensacyjnych wiadomości o tej sprawie podawali, ale całą rzecz rozważymy trzeźwo oddzielając zdrowe ziarno od podejrzanego. W tym celu przejdziemy wszystkie choroby, w których szczepienie ochronne się stosuje, zastanowimy się w każdym wypadku nad wartością praktyczną polecanej metody.

Nim przystąpimy do właściwego założenia, uważamy jeszcze za stosowne w kilku słowach omówić, co rozu-

mieć należy przez szczepienie. W zwykłych warunkach choroby zakaźne powstają przez dostanie się z powietrzem, napojami, pokarmami albo też przez rany zakaźników chorobowych: przy szczepieniu zaś chcemy sztucznie wywołać chorobę zakaźną i w tym celu wprowadzamy umyślnie do ustroju czysto wyhodowane grzybki specyficzne. Metod szczepienia ochronnego jest wiele, a z tych najważniejsze będziemy mieli sposobność poznać. Ilość zarazku wprowadzonego do ustroju jest różna — a zależy to po części od siły szczepianki (tak w ogóle nazywany płyn szczepienny), powtórę od tego, jak szybko i jakiego nasilenia chorobę chcemy wywołać. Szczepianki wprowadzamy do organizmu w różny sposób i tak wprost w skórę, w którym to celu końcem ostrego noża zeszkrobujemy delikatnie powierzchnią rogową warstwę skóry (przyskórek), przy czem nie powinno być krwawienia albo tylko nieznaczne. W tak obnażoną skórę wcieramy płyn szczepienny, który możemy także wstrzykiwać w tkankę podskórną zapomocą strzykawek dających się łatwo wyczyścić, desynfekuować przez wygotowanie w gorącej wodzie, zamurzenie w roztworze 10% kwasu karbolowego lub 1/1000 sublimatu. Przy szczepieniu ochronnem wybieramy zawsze takie miejsca, z których zwierzęta płynem szczepiennym zlizać nie mogą. W celach naukowych szczepimy wstrzykując szczepiankę wprost do żył, tetawicy, klatki piersiowej, jamy brzusznej, pęcherza, wprowadzając ją do rogówki, w głąb gałki ocznej, na powierzchnię mózgu itd. Wszystkie te sposoby nazywamy waksynacją albo inokulacją.

W praktyce stosujemy szczepienie albo z konieczności albo też dla zapobieżenia wybuchowi zarazy. W pierwszym wypadku szczepimy, jeżeli już było kilka wypadków choroby zakaźnej np. ospy u owiec, zarazy płucnej lub pyska i racie u bydła, celem skrócenia przebiegu zarazy, w tym bowiem razie zwierzęta wszystkie od razu przechorują i zaraza prędko się zakończy. Drugi rodzaj szczepienia tak zwanego zapobiegawczego przeprowadzamy z ostrożności obawiając się, aby zaraza grasująca w sąsiedztwie nie została zawleczoną do naszych obór. Według ustawy o chorobach zakaźnych dozwolone to jest tylko w ospie owczej i to za pozwoleniem władz politycznych.

Na pierwszym miejscu omówimy szczepienie ochronne ospy ludzkiej za pomocą krowianki. (C. d. n.)

## Jak powstają pieśni ludowe.

So strömen des Gesanges Wellen  
Hervor aus nie entdeckten Quellen.  
Schiller.

### I.

Pieśni ludowe w ciągu wieków przechodziły te same koleje, co i wiele innych przedmiotów współczesnej nauki. Długie wieki nie zwracano na nie żadnej uwagi, ludzie uczeni pogardzali nimi, jak pogardzali w ogóle gwarą ludu prostego, życiem, zwyczajami i obyczajami jego, jak pogardzali ludem samym. Dopiero pod koniec zeszłego stulecia pod wpływem powstającego w literaturze sentymentalizmu i zwrotu ku przyrodzie, a również pod wpływem nowych kierunków w naukach społecznych, historycznych i filologicznych, rzucano się w różnych krajach do ich zbierania.

Rozumie się samo przez się, że pierwsi zbieracze pieśni ludowych zwracali przede wszystkim uwagę na takie pieśni, które najbardziej odpowiadały ich naukowemu lub politycznym interesom lub wreszcie panującemu w literaturze gustom. Szkot Makferson wydaje poematy i pieśni Ossyana, ów znakomity falsyfikat, który mimo to był praojcem szkoły romantycznej i pozostawił swe piętno na literackim kolorycie całej epoki. Prawie równocześnie wydaje Percy nierównie cenniejszy lecz nierównie mniej wpływowy zbiór szkockich ballad, i znów widzimy, jak najznakomitsi poeci owego czasu na wyścigi piszą ballady, kombinując w nich współczesne społeczne, polityczne i literackie poglądy z formą szkockiej ballady ludowej i z kolorytem Ossyana (zobacz szczególnie Bürgera „Der wilde Jäger“, „Leonore“, „Der Raubgraf“, Goethego „Der Erlkönig“, „Der Zauberlehrling“ i „Die Braut von Korinth“). Pod potężnym wpływem tych utworów zaczynają miłośnicy starożytności ludowej rozbiegać się po wszystkich zakątkach własnego kraju, w celu zbierania rzeczy podobnych; wydobywają mnóstwo rzeczywistych skarbów poezji ludowej, a gdzie skarbu tego w gotówce nie było, tam dopomagają sprawie „pobożnym podstępem“ — fałszowaniem i podrabianiem. Zjawiają się cenne zbiory pieśni ludowych serbskich (pierwszy zaczął je zbierać cudzoziemiec, abbe Fortis, zanim we własnej ojczyźnie wyrósł ich główny zbieracz, Wuk Stefanowicz Karadzić), lecz równocześnie zjawia się też sławny rękopis królo-dworski, o którym dotychczas nie wiemy, czy jest autentycznym, czy falsyfikatem, zjawiają się wreszcie i na Ukrainie

zbiory dawnych dum kozackich Certelewa i Łukaszewicza, również przez pół fałszowane. Jest to zatem doba amatorstwa i eklektyzmu: zbieracze szukają w pieśni ludowej tylko formy, która by obnowiła zastarzałe i w pseudoklasycyzmie zaskorupałe formy współczesnej im literatury, — szukają bezpośrednio wyrazu natury, wylewu prostych lecz potężnych uczuć. Najlepszym wyrazem tego eklektycznego amatorstwa była znakomita książka Herdera „Stimmen der Völker in Liedern“: jest to prawdziwy kabinet rarytetów, wygrzebanych z najrozmaitszych zakątków świata: obok ballad szkockich — piosenki litewskie i peruańskie, obok klejnotów prawdziwej muzy ludowej zupełnie niezrozumiałe wrywki z Ossyana i pod ład ludowy składane pieśni i ballady Goethego.

Mimo to książka wywarła wpływ ogromny; równoprawność, z jaką traktowane w niej były pieśni najrozmaitszych narodów, budziła i krzepiła kielkującą myśl o równoprawności i samychże narodowości. Rozwijające się studia historyczne i filologiczne popchnęły wielu uczonych do poszukiwania nowych materiałów dla tych studjów, a raczej dla potwierdzenia raz powziętych naukowych teorii — w tych pieśniach ludowych. Osobliwie pośród narodowości pokrzywdzonych historją, wśród narodowości słowiańskich ruch ten przejawiał się silnie. Pieśni serbskie, t. zw. junackie, opiewające walkę o narodową niepodległość, bitwę na Kosowym polu, czyny Marka królewicza i t. p., nabierają europejskiej sławy, stają się materiałem, wedle którego prawie dosłownie Engel opowiada Europie historję upadku serbskiej samodzielności. Niemniejszą sławę zdobywają i czeskie pieśni rękopisu krółodworskiego, ułomaczone i chwalone przez Goethego. Zorjan Dołęga Chodakowski (Adam Czarnocki) pieczo przebiega zrazu terytorjum dawnej Polski, a później i Rosji, zbierając pieśni ludowe, raczej z interesu archeologiczno - mitologiczno - historycznego, niż etnograficznego. Wacław Zaleski wydaje swój zbiór pieśni polskich i ruskich również eklektycznie, jak Herder, mieszając — lecz już nie bez politycznego zamiaru — pieśni jednego narodu z pieśniami drugiego, a nadto z powodu nienaukowego poglądu na naturę pieśni ludowej, miesząc (tak samo jak Herder) utwory muzy ludowej z utworami świadomych artystów, z pieśniami Karpińskiego, Zaleskiego itd., bądź to ułożonemi w stylu pieśni, bądź też rzeczywicie spiewanemi po dworakach szlacheckich. Rzecz oczywista, że i ruskie wiersze podobnego rodzaju (szkoły Padurry) musiały wejść w ten zbiór.

Lecz im silniejszy wpływ wywarła pieśń ludowa na budzenie i odradzanie się narodowości, tem krótszem musiało być panowanie owego eklektyzmu. Szkoła romantyczna w Polsce obwołuje ustami Mickiewicza pieśń gminną — „arką przymierza, w którą lud składa broń swego rycerza, swych myśli przedzę i swych uczuć kwiaty“: rzecz oczywista, że każda budząca się do świadomości grupa narodowościowa pragnie nie tylko mieć taką arkę, lecz pragnie mieć ją u siebie, w zupełnej czystości i nietykalności. Niedosć na tem, każda grupa rzuca się do swej arki, by w niej odszukać właśnie to, czego dla niej było potrzeba, odszukać broń zdolną ochronić wale narodowej samodzielności. Pieśń gminna z arki przymierza sama staje się bronią, którą szermują pro i contra. Mitologowie, filologowie, historycy i politycy biorą ją in crudo, jako dowód dla swych twierdzeń i teoryj: co nie podchodzi do tych twierdzeń i teoryj, to albo odrzucają jako niegodne uwagi, albo też starają się podmalować lub wyinterpretować po swojemu. A gdy wreszcie demokratyczne i rewolucyjne ruchy naszego stulecia niejako przymocowały uwagę ludzi myślących na lud, na konieczność jego poznania i zbadania, gdy z rozróżnionych dawniej doktryn: starożytności, mitologii, lingwistyki i t. d. zaczęła wydzielać się nowa potężna nauka etnografji, to i tutaj z początku wlaźił kto chciał ze swymi z góry powziętymi poglądami i starał się pod pozorem poznania poglądów ludowych na podstawie jego własnych pieśni, interpretować w lud te poglądy, jakim sam hołdował. I tak w ruskiej literaturze widzieliśmy teologów, którzy na podstawie pieśni i przysłów ludowych wmawiali w lud kompletną i detaliczną znajomość dogmatyki chrześcijańskiej — lecz widzieliśmy też socjalistów, którzy na tej samej podstawie głosili, że pojęcia ruskiego ludu w sprawach społecznych choć nie jasno, lecz blisko podchodzą pod ideał socjalizmu.

Dopiero w najnowszych czasach czem raz powszechniej zaczyna torować sobie drogę całkiem naukowe pojmywanie i traktowanie pieśni i innych ustnych utworów ludowych jako materiału do historii kultury ludowej, a więc jako materiału historycznego, jako dokumentu. I jak w obecnej nauce historycznej znikło lub znika stopniowo aprioryczne traktowanie przedmiotu t. j. podciąganie lub nawet podfarbowywanie dokumentów historycznych pod pewne z góry powzięte schematy i koncepcje i ustępuje miejsca induktywnemu odbudowywaniu przeszłości za pomocą jak najdokładniejszego rozbioru i obsledzenia krytycznego każdej cegiełki, każdego dokumentu i

każdego zawartego w nim szczegółu, tak też i w etnograficznej nauce, która pod wpływem powyższej metody z konieczności staje się częścią historii kultury, na miejsce dawniejszego niekrytycznego posługiwania się surowym materiałem ustnej literatury ludowej wstępuje z wolna krytyczne opracowywanie tego materiału dla celów nauki. I jak przy krytyce historycznych dokumentów pierwszym i najważniejszym pytaniem jest pytanie autentyczności, a więc genezy, pochodzenia danego dokumentu, tak też i tutaj wysunięto obecnie na pierwszy plan pytanie: jak powstają i skąd pochodzą pieśni ludowe? Bez jasnej i stanowczej odpowiedzi na to pytanie niemożliwym jest naukowe spożytkowanie nagrodzonych od stulat materiałów etnograficznych, gdyż materiały te razem wzięte przedstawiają taką masę sprzeczności i podobieństw, rysów oryginalnych i zwrotów lub motywów wspólnych różnym, daleko od siebie mieszkającym narodom, że samo postawienie pytania w ten sposób odkryło przed badaczami cały nowy świat tajemnych związków duchowych, wiekowych prądów, wpływów i stosunków wzajemności dotychczas mało zbadanych lub nawet nie podejrzanych. Pokazało się od razu, że w tej „arce przymierza“ nie żaden pojedynczy lud, lecz całe stulecia najrozmaitszych wpływów i związków złożyły swe okrucieństwa i że jest to raczej wielki geologiczny pokład, w którym pomieszczone bądź to w całości zachowane bądź też do niepoznania pogruchotane spoczywają i wytwory miejscowego życia i tysiączne erratyczne zabytki, zamiesione morzem i lądem, wiatrami i falami i lodowcami, zasymilowane mniej lub więcej, tak że kompletne rozmołnienie tego zawilego kłębaka w jednym kraju i narodzie zupełnie jest niemożliwym bez równoczesnego dokonania tej pracy u wszystkich prawie narodów naszej rasy i nawet innych ras, z którymi historia wprowadzała nas w stosunki. Do dokonania tej olbrzymiej pracy jeszcze bardzo daleko — zaledwie kontury jej zarysowują się wyraźniej przed nami, chociaż wielki zastęp badaczy niezmordowanie nad nią pracuje i jeżeli w następnym szkicu chciałbym czytelnikom podać parę rysów z tej nowej nauki, to czynię to raczej w tym zamiarze, by zwrócić uwagę na ten wielce ciekawy, a u nas dotychczas z mało znany przedmiot, niż w pretensji podania tu czegokolwiek nie to już nowego, ale chociażby w zupełności stwierdzonego i powszechnie przyjętego przez naukę.

*Iwan Franko.*

(Dokończenie nastąpi).

## Królowa balu.

W przybranej w kwiaty sali błyszczą światła smugi,  
Przesuwa się piękności szereg barwny, długi.  
Młodzież w pelnym rynsztunku czeka chwili boju  
Północ głośnie zegary, bal w całym rozwoju.

\* \* \*

Na zaproszenie głównego tancerza  
Ochoce pary spieszą do mazura.  
Muzyka ńci, grajek takt uderza.  
Zatacza koło najpierwsza figura.  
Oczy obecnych zwrócone ciekawie,  
Gdyż wielką nowość wprowadził pan domu,  
Chcąc niespodziankę urządzić w zabawie,  
Przed baleń o niej, nie mówił nikomu.  
O! każdy z panów, skryty w butonierce  
Chował przepiękny zagraniczny kwiatek.  
Podczas figury wybranej tancerce  
Miał złożyć w dani, jako uczuć datek.  
Królowa balu stanęła do koła.  
Jej oczy ciemne, czarowne i duże  
Patrzyły wzrokiem niewinnym aniola,  
A usta miała jak wiosenne róże.  
Drobną jej postać zdobiał gazy zwoje,  
Na szyi błyszczał krzyżyk brylantowy.  
Włosy przybrała w śnieżyste powoje.  
Spięte nad czołem, jak djadem królowej.  
Z wdzięcznym uśmiechem wyciągnęła dłońie  
Biorąc z tancerza swego ręki kwiatek.  
Lecz w tejże chwili, mieni się i płonie  
I znowu błednie, jako śniegu płatek.  
Podnosi oczy smutna, zadziwiona,  
Gdyż dar młodzieńca bardzo ją zatrwożył,  
Była to z cierni uwita korona.  
Jaką Pan świata w dzień męczeństwa włożył.  
Po chwili rzecze, przyszedłszy do siebie:  
„Zły omen, cierni na balu nie noszę,  
„Chyba że w zamian wymodli Pan w niebie  
„Dla mnie mieszkanie“. — „Wybacz, pani, proszę,  
„Przerwał młodzieniec. Jąbyń wszystkie dary  
„Co najpiękniejsze złożył Ci w ofierze,  
„Alpejskie róże, wodne nenufary  
„Konwali wieńce. Lecz dziś mówię szczerze  
„Ja Tobie innych kwiatów dać nie mogę,  
„My tacy biedni, bezdomni tulące.  
„Cierniem usłaną mamy życia drogę.  
„Pani! Tyś Polką, patrz! Ojczyzna płacze  
„Nad strasznym czynem wyrodnego syna,  
„Co nie szanował ojców swoich ziemi,  
„Co spełnił zbrodnię gorszą od Kaina,

„Lamiąc ogniwa rękami własnemi.  
„Tyś córka matek, co dla świętej sprawy  
„Dzieliły z mężem kajdany na rękę,  
„Co wiodły żywot męczeński i krwawy  
„A śmierć witały bez żalu i jęku.  
„Pani! Tyś Polką nietylko z nazwiska.  
„Ty zrzuć ze siebie zagraniczne stroje,  
„Niech na Twem czole szlachetność polyska  
„Miłość Ojczyzny, to są skarby Twoje.  
„Gdy w piersiach Matki sączy krwawa rana  
„Hańbą dla Polki pustych sere bawidła.  
„Z przedzy poświęceń szata jej utkana.  
„Oddaj błyskotki, stroje i świecidła  
„Na pomoc bratnią, na rzecz narodową.  
„Kochaj swą ziemię, broń jej z całej siły.  
„O! siostrzo zdrzyj przed wieścią miobową  
„Że nam jej zbrakuie . . . na własne mogiły.“  
Młodzieniec skończył, a dziewczę ze łzami:  
„Weź go Pan, proszę, to mój skarb jedyny“.  
Mówi, zdejmując krzyżyk z brylantami.  
„Małeńką byłam, matka mi go dała,  
„Ach! nie zapomnę nigdy tej godziny  
„Była tak chorą, za chwilę... skonała.  
„Dziecko! wyrzekła, jedyna spuścizna,  
„Jaką mieć będziesz po mnie do schowania.  
„Strzeż więc jej dobrze, chyba że ojczyzna  
„Skromnej ofiary zażąda od ciebie,  
„Wówczas ją oddaj, oddaj bez wahania“.  
„Spełniam jej wole, ja wiem, ona w niebie  
„Modli się za mnie, ona błogosławi.  
„Weź dar mój skromny, połącz go z drugiem.  
„Zapnień za złoto, a on może zbawi,  
„Może ocali . . . grudkę polskiej ziemi“.

Za przykładem królowej składano ofiary  
Mile sereu pamiatki, drogocenne dary,  
Narodowa melodia mazura płynęła  
A echo powtarzało: „Jeszcze nie zginęła.“

*Melania Parczewska.*

## ATTALEA PRINCEPS.

B A Ś Ń

W. G A R S Z Y N A.

(Przekład z rosyjskiego.)

W pewnem wielkiem mieście istniał ogród botaniczny, a w tym ogrodzie duża cieplarnia z żelaza i szkła. Było tam bardzo ładnie. Wyniosłe kolumny podpierały gmach, ponad niemi przechodziły zgrabne, ozdobami upiękzone łuki, wypełniane siecią oszklonych okien, w żelaznych ramach. Najpiękniej wyglądała cie-

plarnia, kiedy zachodzące słońce opromieniało ją czerwonym blaskiem. Gmach wydawał się wtedy jakby zamurzony w ognistym morzu, czerwone promienie igrające łamały się w szybach, jakby w dużym, kunsztownie szlifowanym djamencie.

Przez grube, przejrzyste szyby widniały zamknięte rośliny. Mimo przestronności cieplarni, rośliny czuły się ścieśnione, korzenie ich splatały się pomiędzy sobą i walczyły o wilgoć i pożywienie. Gałęzie drzew weiskały się pomiędzy duże liście palm, napierały na nie i rozdzierały je. Gałęzie zaś same łamały się o żelazne ramy okien. Ogrodnicy musieli zawsze gałęzie podcinać, liście palmowe podwiązywać drutem, ażeby nie rosły tędy, którądy chciały. Ale niewiele to pomagało. Rośliny potrzebowały więcej miejsca, ojczyznej gleby i — wolności. Wszystkie te wspaiałe stworzenia były dziećmi południa. Pamiętały o swojej ojczyźnie i tęskniły za nią. Szklany dach, jakkolwiek przejrzysty, to wszakże nie wolne, pogodne niebo.

Czasami — w zimie — szyby zamarały, a wtedy w cieplarni było całkiem ciemno. Wieher wyjął uderzał o szyby, a biedne rośliny trzęsły się i drżały. Dach pokrywał się grubą warstwą śniegu. Rośliny stały, wsłuchiwały się w świst burzy i marzyły o innym wietrze, o ciepłym, wilgotnym powiewie, który nadawał im życie i zdrowie. I znów pragnęły uczuć ten powiew, chciały ażeby pieścił ich gałęzie, igrał z ich listkami. Ale żaden powiew nie zadrgał w powietrzu cieplarni, chyba że czasem burza zimowa wybiła szybę i ostry, lodowaty wieher weiskał się do wnętrza. Gdziekolwiek przeszedł ten prąd lodowaty, blade liście, kurczyły się i więdły.

Ale szyby natychmiast wprawiano. Ogród botaniczny zostawał pod nadzorem znakomitego, uczonego dyrektora, a ten nie cierpiał żadnego nieporządku, jakkolwiek cały swój czas poświęcał mikroskopijnym badaniom, w szklannym domku, umieszczonym w cieplarni.

Pomiędzy roślinami znajdowała się palma, wyższa i piękniejsza od wszystkich innych. Dyrektor, który przesiadywał w małym szklannym domku, nazywał ją po łacinie *Attalea*.

Ale to nie było prawdziwym jej mianem, wymależli je tylko botanicy. Właściwego miana nie znali ci uczeni i dlatego też nie umieścili go, czarno na białym, na tabliczce przybitej do pnia palmy.

Pewnego razu do botanicznego ogrodu przyszedł cudzoziemiec, z kraju w którym ta palma wyrosła. Skoro ją ujrzał, uśmiechnął się, bo palma przypominała mu ojczyznę.

„Znam dobrze to drzewo“ rzekł i wymienił właściwe jego nazwisko.

„Przepraszam pana“ zawołał z szklanego domku dyrektor, zajęty właśnie rozcinaniem brzytwą długiej

słonki — „przepraszam pana, ale pan mylisz się. Takie drzewo, jakie pan właśnie wymieniles, nie istnieje wcale. To jest *Attalea princeps* i pochodzi z Brazylii“

„Wierzę panu“ — odrzekł obcy — „że botanicy nazywają to drzewo *Attalea*, ale na ono oprócz tego swoje właściwe ojczyznie nazwisko“.

„Właściwe nazwisko jest to, które nadaje umiętność“, odrzekł sucho botanik i zatrzasnął drzwi swego domku: niechby nie przeszkadzali mu ludzie, którzy nawet nie rozumieją, że jeżeli człowiek nauki coś twierdzi, należy mułec i słuchać.

A Brazylijczyk stał długo spoglądając na drzewo i stawał się coraz bardziej smutniejszym. Myślał o swojej ojczyźnie, o jej słońcu, jej niebie, o jej wspaiałych lasach pełnych najdziwniejszych zwierząt, o jej pustyniach i o cudownych, południowych rzeczach. I przypominał sobie, że nigdzie nie był tak szczęśliwym jak w ojczyźnie, a przecież tyle — tyle zwidził krajów. Pieszczołliwie dotknął palmy ręką, jak gdyby chciał ją pożegnać i opuścić ogród. Na drugi dzień już na parowcu spieszył do ojczyzny.

A palma została. Życie stało się dla niej jeszcze nieznośniejszem, chociaż i przed tym wypadkiem było już bardzo nieznośnem. Czuła się całkiem osamotnioną. Wzrostem o wiele przewyższała wszystkie inne rośliny cieplarni. A te inne rośliny nie lubiały jej, zazdrościły i uważały ją za dumną. Wysokość była dla niej źródłem ciągłej niedoli, bo podczas kiedy wszystkie inne rośliny stały obok siebie, ona sama i samotna wznosiła się po nad tłum. Dokładniej niż wszystkie inne pamiętała ojczyznie niebo i tęskniła za niem, więcej niż wszystkie inne, bo bliższą była temu, co musiało zastępować jej niebo nienawistnemu dachowi. Przez dach przebiegała czasem niebieska przestrzeń: to było niebo, wprawdzie obce, blade ale zawsze rzeczywiste błękitne niebo. A kiedy rośliny rozmawiały ze sobą, *Attalea* milczała, gryzła się i myślała tylko o tem, jakby to pięknie było stać na wolności, chociażby pod tym bladym niebem.

„Czy prędko podleją nas?“ pytała palma Sago, która bardzo lubiała wilgoć. W istocie zdaje mi się, że dziś zginę z pragnienia“.

„Słowa szanownej sąsiadki dziwią mnie“ odrzekł pękaty kaktus „czyż nie wystarcza pani ta ogromna ilość wody, którą cię codziennie podlewają? Popatrz pani na mnie, dostaję jak najmniej wody, a przecież jestem zawsze świeży i soczysty.“

„Nie jesteśmy przyzwyczajone do wielkiej oszczędności“, odrzekła palma Sago, „nie możemy istnieć na takiej zbiedzonej, suchej ziemi, która dla jakiegoś tam kaktusa jest jeszcze dobrą. Nie żyjemy jak pierwszy lepszy. Oprócz tego muszę zauważyć, że nie pytałam pana o zdanie.“

To powiedziawszy zamilkła nareszcie.

„Co się mnie tyczy“ wniósł się cynamon. „bardzo jestem z swego położenia zadowolony. Wprawdzie nudzę się tu cokolwiek, ale przynajmniej jestem pewny, że nikt nie obedrze mnie z kory.“

„Ale przecież nas wszystkich nigdy z kory nie obdzierano, wierzę że panu, po dawniejszej nędznej egzystencji, to więzienie może wydawać się rajem.“

Cynamon uczył się obrażonym przypomnieniem, że go dawniej obdzierano z kory i rozpoczął sprzeczkę. Niektóre rośliny wzięły go w obronę, inne stanęły po stronie palmy. Powstała żywa sprzeczka i dziki hałas. Gdyby rośliny mogły się były rzucić, z pewnością by się pobily.

„Czego się kłóćcie?“ zapytała Attalea. — „Czyż to ułatwia wasze położenie? Powiększacie tylko swoje nieszczęście własną złośliwością. Porzucicie kłótnię i pomyślcie co trzeba począć. Posłuchajcie mojej rady. Rośnijcie w wysokość i szerokość, rozprzestrzeniajcie wasze gałęzie na wszystkie strony, naciskajcie na żelazo i na szyby: nasza cieplarnia musi się zawalić, a my będziemy wolnymi! Jeżeli jaka gałązeczka sama naciska na szybę, z pewnością odetną ją, ale co oni potrafią przeciw setkom odważnych i silnych pni? Musimy tylko postępować zgodnie, a zwycięstwo nas nie ominie.“ Początkowo nikt nie odpowiedział palmie. Wreszcie jedna z roślin zdecydowała się na odpowiedź.

„Wszystko to jest prostym głupstwem — rzekła.

„Tak, tak, głupstwo!“ zawołały drzewa w chórze i wszystkie równocześnie chciały udowodnić jej, że rzeczywiście powiedziała głupstwo. „To śludne marzenie,“ wołały — bezsens, głupstwo! Żelazo jest mocne i nigdy go nie przełamamy. A gdybyśmy je przełamali, cóż wtedy? Przyszliby ludzie z nożami i toporami, odrębałoby gałęzie, wzniesli na nowo żelazne ramy i wszystko wróciłoby do dawnego porządku. Zacięłoby nas głęboko w mięso i to wszystko...“

„Jak chcecie“, odrzekła Attalea „teraz wiem co mam czynić. Pozostawię was w spokoju, żyjcie sobie jak chcecie, gniewajcie się na siebie, sprzecząc się o wodę i pozostając na wieki pod szklanym dachem. Ja znajdę już sama drogę. Chcę widzieć niebo nie przez kraty i szkło i zobaczę je.“

I zielonym swym szczytem spoglądnęła palma na las towarzyszy, stojący głęboko pod nią. Żadna z roślin nie odważyła się na odpowiedź, tylko palma Jago szepnęła swojej sąsiadce:

„Zobaczymy, jak odrąbiają jej tę dużą, dumną głowę, ażeby się tak nie wynosiła, ta zarozumiała istota.“

Inne rośliny, jakkolwiek milczały, nie przebaczyły palmie jej wyniosłej mowy. Tylko jedna, jedyna drobniuchna roślina nie gniewała się na nią i nie czuła się dotkniętą jej mową. Była to najbardziej zbiedzona

i pogardzana roślina w całej cieplarni. Bez siły witała się po ziemi, a liście miała duże ale blade i zwiedle. Jedynym jej celem było pokrywać nagą podłogę w cieplarni. Objęła stopę wspaniałej palmy, słuchając słów jej i sądziła że Attalea ma słusność.

Biedna roślina nie znała południowego nieba, ale przecież kochała powietrze i wolność. I jej cieplarnia wydawała się więzieniem.

„Jeżeli ja biedna roślina tak cierpię, bo brak mi mego szarego nieba, bladego słońca i zimnego deszczu, cóż dopiero czuć musi w niewoli to wspaniałe, olbrzymie drzewo!“ pomyślała przytulając się do palmy i obejmując ją czule. „Dlaczegoż nie jestem wielkim drzewem? Usłuchałabym rady, razem byśmy wzrastały i razem odzyskały wolność. A wtedy i inne drzewa uznałyby że Attalea miała słusność.“

Ale nie była ona wielkim drzewem, tylko małą słabiutką roślinką, mogła tylko jeszcze czulej przygarnąć się do pnia palmy, szeptać jej o swej miłości i życzyć powodzenia w zamiarze.

„U nas nie jest tak ciepło, niebo nie jest tak jasne, deszcze nie odświeżają tak, jak w twojej ojczyźnie, ale przecież i my mamy niebo i słońce i wiatr. Brak nam wspaniałych roślin jak ty i twoi towarzysze, o wspaniałych liściach i wyniosłych kształtach, ale i u nas udają się okazałe drzewa — sosny, jodły i brzozy. Ja jestem małą roślinką i nigdy nie wydostanę się na wolność, ale ty jesteś tak wielką i tak pełną siły, twój pień jest twardy i nie wiele brakuje, a dosięgniesz do szklanego dachu. Rozbijesz go i na wolności uradujesz się światłem i powietrzem. Wtedy opowiesz mi, czy tam na dworze wszystko jeszcze takie piękne jak dawniej. Zadowolnię się i tem.“

„Dlaczego mała roślino, wraz ze mną nie chcesz dójść do wolności? Pień mój jest twardy i silny, oprzeź się o niego, i po nim pnij się do góry.“

„Ja! Jakże byłoby to możliwe. Patrz jak jestem słabą i zwiedłą. Nie mogę nawet podnieść żadnego z moich listków. Nie, ja nie mogę być ci towarzyszem. Rośnij i bądź szczęśliwą! Proszę cię tylko żebyś dostawszy się na wolność, pamiętała o twoim małym przyjacielu!“

Zaczęła więc palma rosnąć pospiesznie. Dawniej już podziwiali wszyscy nadzwyczajny jej wzrost, cóż dopiero teraz, kiedy z miesiąca na miesiąc rosła wyżej a wyżej. Dyrektor botanicznego ogrodu przypisywał ten nadzwyczajny wzrost jedynie swemu pielęgnowaniu i z dumą opowiadał każdemu o znakomitem urządzeniu cieplarni.

„Popatrz pan, proszę na tę attalea princeps“, mawiał, „takie olbrzymie drzewo nie łatwo spotkać nawet w Brazylii. Wyteżyliśmy całą naszą wiedzę ażeby rośliny w cieplarni tak samo swobodnie mo-

gły się rozwijać jak na wolności i zdaje mi się, że nasiłowania nasze odniosły pewien skutek.“

Przytem z miną zadowoloną uderzał łaską o twarde drzewo, a uderzenia rozlegały się echem po całej cieplarni. Przy każdym uderzeniu przez liście palmy przechodziło drzenie; gdyby mogła się była odezwąć straszonym byłyby jej krzyk oburzenia!

„Czy on sądzi że rosnę tylko na to, żeby mu sprawić przyjemność?“

I rosła dalej, wyteżała wszystkie swoje soki, żeby wznosić się wyżej a wyżej niedbając o korzenie i liści. Czasami zdawało się jej, że przestrzeń między nią a dachem nie zmniejsza się wcale. Wtedy zbierała wszystkie swoje siły, ramy szklanego dachu zbliżały się, a wreszcie młody listek dotknął zimnych szyb i żelaznej kraty.

„Patrzcie tylko, patrzcie“ wołały inne rośliny jak daleko ona doszła. „Czy tylko odważy się?“

Minał jeszcze jeden miesiąc. Palma rosła jeszcze wyżej, wreszcie stykała się już zupełnie z szklanym dachem. Dalej rosnąć nie było możliwem. Pień począł kureczyć się, zielona korona jego wierzchołka ściśnieła się, zimne żelazne sztaby wdzierały się w młode delikatne listki i kaleczyły je. Ale palma była uparta, poświęciła liście, z całej siły nacisnęła na żelazo, kraty zaczęły poddawać się.

Mała roślinka gorączkowo przypatrywała się tej walce.

„Powiedz mi, czyż cię to nie boli? Czyż nie lepiej zaniechać tego zamiaru, kiedy ramy są tak silne?“

„Boli? co mi znaczy boleść kiedy chcę być wolną? Czyż sama nie zachęcałaś mnie do tego“ odrzekła palma.

„Tak, zachęcałam cię nie wiedząc, że będzie to tak trudnem. Żal mi ciebie, bo cierpisz strasznie.“

„Milcz ty słabe stworzenie, nie lituj się nademną, umrę ale będę wolną!“

W tejże chwili rozległo się uderzenie, żelazo w ramach pękło a rozbite szkło rozprysło się na wszystkie strony. Odłam szkła spadł na kapelusz dyrektora, który właśnie wychodził z cieplarni.

„Co to ma znaczyć!“ zawołał gniewnie i wypadł z cieplarni ażeby oglądnąć dach zewnątrz.

Ponad dach wznosiła się dumnie zielona korona palmy.

„I to wszystko, pomyślała. I to wszystko, za co tak długo cierpiałam, tak długo męczyłam się, to mój cel najwyższy!“

Była już późna jesień, kiedy attalea dumą swoją koronę wzniosła ponad rozbity dach cieplarni. Drobnny deszcz padał zmieszany śniegiem, zimny wiatr gonił po niebie ciemne chmury, drzewa ogołocone z liści wyglądały jak brzydkie trupy. Tylko sosny i jodły za-

trzymały swoją zieloną ozdobę. Pomuro patrzyły drzewa na palmę.

„Musisz zmarznąć!“ zdawały się wołać na nią.

„Ty nie wiesz co znaczy mróz, ty nie zdołasz wytrzymać go. Dlaczego opuściłaś cieplarnię?“

I zrozumiała attalea, że wszystko dla niej skończone. Krew zamarzła jej w żyłach. Pod dach powrócić? dla niej nie istniał powód. Musiała stać na zimnem powietrzu, wytrzymywać uderzenia wiatru i zimnym płatem śniegu pozwolić całować się; musiała patrzeć na szare niebo, na nędzną naturę wokół, na brudne podwórze ogrodu i na nudne olbrzymie miasto widniejące po za mgłą. Tak musiała stać i czekać co na dole w cieplarni postanowią o niej.

Dyrektor rozkazał palmę obalić. „Możnaby właściwie podwyższyć dach dla niej ale to nie na długo pomoże. Będzie ona rosłać dalej i znów wszystko rozbije. Zresztą kosztowało by to za wiele. Obalić ją!“

Palnę obwiązano sznurami, ażeby spadając nie rozbila ścian i podcięto ją tuż przy korzeniu. Mała roślinka, która opłotła jej pień, nie chciała opuścić przyjaciela, dostała się pod topór i pilę. Kiedy wyciągano palmę z cieplarni leżały naokoło rozdarte liści i łodyżki.

„Wyrwijcie ten chwast i wyrzucicie go, i tak wygląda już całkiem żółto a pila zniszczyła go do reszty. W to miejsce posadźcie co innego.“

Jeden z ogrodników pociągnięciem motyki, wyrwał roślinę, rzucił chwast do kosza, wyniósł go i wysypał na podwórzu właśnie na martwą palmę, która leżała zasypana śmieciem i śniegiem.

## Z WYSTAWY

zjednoczonych towarzystw sztuk pięknych

we Lwowie.

### I.

Lwowskie i krakowskie towarzystwo sztuk pięknych urządziło wspólnie stałą wystawę obrazów i rzeźb we Lwowie. Wystawa mieści się w czterech miernej wielkości pokojach, na pierwszym piętrze domu prywatnego przy placu św. Ducha. W trzech salach głównych wpada światło zachodnie oknami, umieszczonemi jak zazwyczaj w domach mieszkalnych zaledwie o 8 decymetrów po nad podłogą, wskutek czego na każde płótno większe, oraz na wszystkie w wyższym rzędzie ulokowane malowidła działa niekorzystnie oświetlenie z dołu. W tak trudnych warunkach, zarząd z uznania godną troskliwością i starannością porozmieszczał przeszło 180 rzeźb i malowideł w ten

sposób, że zbyt ciemne kątki, i zbyt jasne płaszczyzny dostały się pracom najmniejszej stosunkowo wartości artystycznej. Sam inwentarz wystawy, częstym podlegający zmianom, oraz ogłoszenia zarządu, powinnyby zachęcać publiczność lwowską do regularnego frekwentowania wystawy: jednak — nie mówiąc już o tem, że artyści nie mogą się spodziewać odbytu dla prac swych na wystawie lwowskiej — wystawa ta słabo bywa uczęszczaną, a tylko utwory mistrzów zagranicznych, pojawiające się od czasu do czasu na wystawie lwowskiej, zwabiają liczniejszą publiczność. Obecnie attraction taką stanowi wielkich rozmiarów płótno Jerzego Rochegrossa „Epizod z wojen chłopskich w południowej Francji 1358 r. O obrazie tym umieścił „Ruch“ obszerną ocenę.

Drugim z rzędu płótnem wielkiem, popisowem jest Strażyńskiego „Walka gladiatorów“. Naturalne ruchy, poprawna a prawdziwie popisowa anatomja nagich ciał zapaśników, artystycznie rozłożona skala tonów mięsnych, nadają malowidłu temu cechy t. z. pracy akademickiej; wrażenie to potęguje okoliczność, że zarówno skomplikowana anatomja gladiatorów, jak rzymskie fizjognomje spektatorów przypominają znane wzory; nowe to ćwiczenie ze znanych wysnute motywów grzeszy fatalnym brakiem perspektywy w skutek czego pozbawia się pretensyj do wyższej udatności.

„Alarm w XVI w.“ Edwarda Lepszego należy do rzędu tych obrazów, w obec których widz daremnie się zapytuje: dlaczego ten pan to namalował? W r. 1587 zbliżyły się wojska arcyksięcia Maksymiljana do Krakowa, i zapaliły przedmieście Piasek. Podług regestrów miasta Krakowa urząd bębenisty na wieży ratuszowej powierzono iglarzowi Gabrjelowi. Stoi więc na obrazie p. Lepszego ów Gabrjel, ani bohaterstwem, ani postacią swą nas nie interesujący, i z potężnym zamachem uderza w bęben; po schodach wiodących na platformę wieży wstępuje ktoś zwabiony alarmem. Z rysunka, który wystarcza co najwięcej na ilustrację do popularnej historii miasta Krakowa, nie powinno się robić wielkich olejnych obrazów historycznych.

„Wolny“ Rauchingera Henryka, przedstawia młodzieńca zasłanego na Sybir, który przykuty do taczki umarł i leży rozciągnięty na kamieniach; obok niego pochyłony i smutny towarzysz. Rauchinger współzawodniczył skutecznie z Malczewskim; przedstawiając więźniów syberyjskich na owemż samem co Malczewski szarem,

smutnem tle. p. Rauchinger w obrazie swym nie posunął się do dzikiej zgrozy, ale zachował uprawnioną estetycznie spokojną smętność.

Z portretów najcelniejszym jest Strażyńskiego „Adam Asnyk“. Poeta siedzi w fotelu wysokim, obok niego książki i konwalje w wodzie. Głowa wykonaną jest znakomicie. Lekko ściągnięte brwi, oczy błękitne, bystre a jednak marzące, lica pociągłe, lekko zapadnięte, odbijające pracę umysłową, w portrecie p. Strażyńskiego składają się na całość tak żywą i ujmującą, że powinszować należy artyście nie tylko takiego modelu, ale i takiego wykonania.

Z pomiędzy nielicznych akwareli zasługują przedewszystkiem na wzmiankę rzeczy Juljusza Fałata. „Kucharka“ i „Węglarze“. Przedmioty pojęte i wykonane naturalistycznie: kucharka trzymająca pod ramieniem kure, a w rękę nóż, węglarze, którzy oparci o brudny mur, rozpalają fajki — obie te rzeczy tchną życiem i ujmują nas sumiennem wykonaniem, podczas gdy inni akwareliści aż nadto korzystają z modnej w akwarelach niedbałości rysunku i kolorytu.

P. Reyzner rysuje pastelami kobiety o pełnych, zmysłowych ustach, i lubieżnem wejrzeniu, których kształty w niedyskretny sposób owija lekką mgłą muslinową. Najwyższym efektem, którego dopiąć zdolen, jest powab; dlatego „Rusalka“ z wiankiem na głowie leży jeszcze w obrębie jego talentu, podczas gdy „Ofelja“ wymaga większej głębokości i siły.

Na realniejszym znaczenie gruncie rysunku niekolorowanego, powstały ilustracje Stachiewicza do znanej bajki Kraszewskiego „Dziad i baba“. W sześciu drobnych obrazach cyklu tego, rysunek subtelny, plastyczne cieniowanie łączy się tak szczęśliwie z humorystycznym pomysłem, że bezwarunkowo karty te zaliczyć należy do najudatniejszych rzeczy, które w sezonie bieżącym pojawiły się na wystawie lwowskiej.

Równemi zaletami odznaczają się rysunki p. Stachiewicza do „Potopu“ Sienkiewicza: „Olenka w Wodoktach“ i „Kmicie znajduje pomordowanych kompanionów“; pierwszy zwłaszcza subtelnością i plastycznością przypomina utwory niemieckiego ilustratora Pawła Thumana. Natomiast ilustracje p. Jankowskiego „Prolog“ i „Tak bym chciał jechać do końca świata“ padają w manierę akwarelowego zagubiania konturów.

Z rzeźb wymienimy dziś trzy prace, które zamykając szereg wybitniejszych na wystawie lwowskiej zjawisk „Popea“ Rygiera, biust mar-



murowy, technicznie niezrównanym, łagodnym spokojem antyków, od których się odróżnia realistyczniejszym traktowaniem zrenie. Harmonijne rysy nacechowane okrągłością właściwą dojrzalszym kobietom, lekkie schylenie głowy ku piersi, przy starannej modelacji o przejściach miękkich, ledwie uchwytnych, sprawiają, iż „Popea“ wywiera na widzu owe wrażenie przyciągające, które udatne dzieła plastyki wywoływać zwykły w silniejszym aniżeli malowidła stopniu.

Ustawiony naprzeciw „Popei“ biust hr. Zamojskiej dłuta Marcelego Guyskiego, łączy szczęśliwy, bo niezbyt subtelny realizm szczegółów, (brwi, oczu, sukni atlasowej) z monumentalnym układem całości. Jestto portret prawdziwie plastyczny bynajmniej nie wpadający w malowniczość tak groźną dla biustów naturalistycznie traktowanych; w biuście tym są nie tylko rysy i kształty, działające estetycznie, ale jest temperament, duch, charakter.

W sferę wrażeń przenosi nas „Dziecię śpiące“ p. Bunscha. Model gipsowy na dębowej podstawie wyobraża kilkuletnią dziewczynkę, ułożoną do snu, koło niej kwiat i owoc maku, jako symbole snu. Wdzięczny ruch ściągają wybornie modelowane kształty drobnej postaci: miękkie, elastyczne formy, z pod których nigdzie jeszcze nie widać linie i zgięcia twardego kośćca, harmoniują zupełnie z niewinnym, łagodnym uśmiechem okrągłych lic. W studjum tem jest tyle staranności świadomej, ile naiwnego wdzięku.

— a. —

## Porządny człowiek.

Mamy przed sobą książkę p. I. „What social classes owe to each other“ (Jakie są wzajemne obowiązki klas społecznych) której autor pan William Graham Summer, wziął sobie za zadanie, przedstawić typ „porządnego człowieka“ wymarzony przez tak zwanych liberalnych ekonomistów, zwolenników hasła „laissez faire, laissez aller.“ Teoria tej szkoły, wypowiedziana w formie ściśle naukowej, nastreczyć może przedmiotu do sporów, rozgorączkowania, ba nawet nienawiści, ale praktyczne wnioski z tej teorii, skryształizowane przez amerykańskiego ekonomistę w typ „porządnego człowieka“ obudzić tylko mogą niesmak i obrzydzenie. Jeżeli zamiar autora skierowany był na spopularyzowanie teorii naukowej której jest zwolennikiem, to nie tylko cel został chybiony, ale co więcej, próba praktycznego tej teorii zastosowania, więcej jak wszelkie przeciwnie doktryny, okazała się moralną jej nicością, całą szpie-

czność z tem, co przywykliśmy uważać za dobre, szlachetne i wzniosłe. Pan Summer niedźwiedzią swemu stronięciu oddał przysługę, bo ideał jego wysnuły przyznać trzeba, z największą logiczną ścisłością z teorii liberalnych ekonomistów, przedstawia taki stopień zwierzenia i tak jest odrażającym, że rozpowszechnienie tego dzieła, przyczynić się tylko może do zupełnego zohydzenia manchesterskiej teorii.

Na wstępie do swego dzieła, oświadcza uczony profesor, że w obec ciągłego nawoływania do rozwiązywania społecznych problemów, wobec tego że legjony piszących występują codziennie w imieniu jakiejś wielkiej, ale bezpostaciowej i nieokreślonej korporacji, która ma do społeczeństwa pretensje i grozi mu karami w obec tego wreszcie, że nikt z tych pisarzy nie wyjaśnia właściwie jaki to jest problemat i jak ma być rozwiązany, a żąda natomiast ażeby ci, którzy rozwiązać go mają przedewszystkiem sami go określili: zmuszony jest rozpocząć rzecz swoją od postawienia następujących pytań: Kto są ci którzy ośmielają się narzucać drugim ciężkie zadania? W jaki sposób nabyli oni prawo do żądania żeby inni rozwiązywali za nich trudne zagadki świata? Kto są ci, którzy wziąć na siebie i rozwiązać mają wszystkie zadania i dlaczego obowiązek ten spada właśnie na nich? Na te pytania odpowiada sobie pan Summer, w imieniu „owego legjonu piszących“ w sposób następujący: Ci którzy zobowiązani są do rozwiązywania tych zagadnień, to ludzie bogaci, szczęśliwi, cnotliwi, poważani, wykształceni i zdrowi, ci którzy mają prawo narzucać im tę pracę, to ludzie, którzy w walce o byt, mniej od nich byli szczęśliwi. Problemat zaś sam opiewa: w jaki sposób położenie tych ostatnich, stać się może tak korzystnem jak pierwszych.

To narzucone określenie przyjąć się daje bez protestu. W istocie obowiązkiem ludzi wykształconych jest, odpowiadając słusznemu żądaniu tych którzy w walce o byt przez nich pokonani zostali, starać się o podniesienie ich do tego poziomu szczęśliwości, na którym sami się znajdują. Rozumowanie takie jednak, wtedy tylko będzie uzasadnione, jeżeli wyjdziemy z założenia, że społeczeństwo, czy państwo, ma wobec swoich członków pewne zobowiązania, czyli mówiąc wyraźniej, że ogół ludzi ma pewne obowiązki wobec poszczególnego człowieka. Pan Summer jednak przeczy temu, a niego państwo w znaczeniu abstrakcyjnem, to tylko ogół wszystkich, w praktyce zaś, niezliczne grupy ludzi, którzy przez przypadkową większość wybrani zostali, do spełnienia pewnych dla nas wszystkich posług. Państwo jest więc jego zdaniem „podrzednym urzędnikiem na którym wyższy urzędnik, zmuszany jest polegać“. A tak pojęte państwo identyfikuje on w zupełności z społeczeństwem. Jako „podrzedny urzędnik“ nie ma więc państwo ani prawa, ani zdolności, do regulowania

kwestji dobrobytu poszczególnych swoich przelożonych, t. j. wszystkich mieszkańców, a kwestję co uczynić ma państwo na korzyść, handlu, przemysłu, biednych itd. parodjuje on w ten sposób, że zmienia ją na zapytanie: „co też mamy wszyscy uczynić na korzyść niektórych z pomiędzy nas.”

Pan Summer stara się o ścisłe odróżnienie zła które związane jest z walką o byt, od zła którego przyczyną szukać należy w wadliwych urządzeniach społecznych. Przedtem jednak wentyluje pytanie co to jest „biedny człowiek”. Biednym jest przede wszystkim żebrak t. j. człowiek który więcej konsumuje, jak produkuje, który więc nie płaci za swoje potrzeby. Społeczeństwo jeżeli go już utrzymuje, nie powinno dawać mu praw politycznych, ale w gruncie rzeczy nie powinno go ani wcale utrzymywać. „Porządny człowiek” ze szkoły pana Summera zaczyna więc od tego, że niezdolnego do pracy żebraka, skazuje na śmierć głodową.

Żebrak jednak nie jest to jeszcze ów „biedny człowiek” przeciw któremu głównie skierowana jest złość szanownego Amerykanina. „Pod nazwą biednych, słabych” powiada p. Summer — wtlaczają na barki pilnych i przezornych, wszystkich niedbałych, leniwych, głupich i lekkomyślnych i każą ich utrzymywać”. Zdaniem jego zarobnicy najniższej kategorii bynajmniej nie należą do „biednych” bo nie mają żadnych obowiązków. Widocznie zapominał autor o obowiązku do życia. „Kto zebrał majątek na tym cięży obowiązek utrzymywania drugich, kto nie zebrał, ma tę korzyść, że drudzy go utrzymywać muszą.”

Pan Summer ubolewa więc nad losem „biednych bogatych” i jeżeli w ogóle uznawałby dopuszczalność interwencji społeczeństwa, żądałby dla nich pomocy. Pan Summer stawia jednak zasadę, że w wolnem państwie nikt nie ma prawa żądać pomocy drugiego i dlatego jego „porządny człowiek” wprawdzie nie żąda od państwa ochrony przeciw „biednemu człowiekowi”, ale też uważa za swój obowiązek nie tylko nie troszczyć się o jego biedę, ale jeszcze i wyzyskiwać ją o ile na to pozwala wyższość jego inteligencji i pozycji.

Wolność obywatelska według niego jest takim stanem rzeczy, który przez instytucje i prawa dla osobnika powstaje, i rzeczy każdemu człowiekowi, za użycie wszystkich swoich sił tylko dla własnego dobrobytu! „Porządny człowiek” powinien więc z największą energją odeprzeć preteusje, podnoszone z tytułu ubóstwa. „Ażeby nam się dobrze działo, powinniśmy starać się żeby nas było jak najmniej w interesie. Każdego bogacza jest więc staraniem, żeby jak najmniej było bogaczy”. Tu już „porządny człowiek” wależy z własnym obowiem a trzeba mu oddać tę sprawiedliwość, że wależy z tą samą zaciętością eo i z przeciwnym. Sofistyczne wywody autora są miejscami tak słabe, że graniczą prawie z naiwnością. W jednym miejscu np. rzeca się

gwałtownie na tych, którzy żądają ażeby zakłady komunikacyjne służyły więcej celom ogólnym, potrzebom społeczeństwa i nazywa to żądanie zamachem na „świętą” własność akcjonariuszów, nie zastanawiając się zupełnie nad urządzeniem zakładów komunikacyjnych państwowych. W tym samym rozdziale mówiąc o przedsiębiorstwach akcyjnych, umieścił p. Summer mały traktat o uczciwości handlowej, polegającej według niego na tem, żeby nie potknąć się o żaden paragraf karnej ustawy.

Wysoki zysk wielkiego kapitału, nazywa autor „nagrodą za naczelny nadzór”, która według niego nigdy nie może być za wysoką.

W ten sposób wszystko usprawiedliwiając, uważa p. Summer wszelkie reformy socjalne za zamach na byt „porządnego człowieka” który jako taki, troszczyć się ma tylko o swoje własne sprawy. Zasada ta jest wprawdzie sama dla siebie negatywną i nieproduktywną, ale biorąc na uwagę obecne stosunki społeczne, staje się ona zasadą najwyższej wagi. Na zasadzie, że każdy troszczyć się ma tylko o swoje własne sprawy, rozwinięć by się dalo wspaniałą filozofię.

Najważniejszą i najpierwszą zasadą „porządnego człowieka” jest zatem, nie troszczyć się o nikogo tylko o siebie samego. Dobroczynność nazywa on występkiem przeciw swemu własnemu ja.

Oto typ porządnego człowieka dziewiętnastego wieku, przedstawiony przez amerykańskiego ekonomistę.

*Ad.*

## E C H A.

Kwestja ruska w Galicji, zaostrzyła się na nowo, skutkiem uchwały sejmowej, odrzucającej wniosek p. Romańczuka, o kreowanie raskiego gimnazjum w Przemysłu. Jakkolwiek równocześnie większość sejmowa zgadza się na zaprowadzenie paralelek z językiem wykładowym ruskim, wszędzie gdzie znajduje się dostateczna liczba Rusinów, prasa ruska uderzyła na gwałt i uważa zgodę polsko-ruską, jeżeli nie za raz na zawsze zerwaną — to przynajmniej za bardzo utrudnioną.

W walce która murtuje społeczeństwo galicyjskie, ze strony polskiej wylaniają się trzy prądy: pierwszy wychodzi ze stanowiska walki par excellence, ani na chwilę nie opuszcza wojennego stanowiska, najmniejsze ustępstwo na rzecz Rusinów uważa za zdradę sprawy narodowej, słowem: wszystkimi siłami dąży do zgnięcia ruskiej narodowości. Drugi również nie kieruje się czulością a tylko rozumem politycznym, również uznaje że z drogi zimnej rozważki zejść nam nie wolno, ale toczyć chce walkę tylko o sprawę słuszną. Uznając więc Galicję za kraj z ludem ruskim a inteligencją polską i kulturą polską, chętnie czyni wszelkie na rzecz

ludu ruskiego ustępstwa, walczyć tylko o nabyte prawa polskiej inteligencji i polskiej kultury.

Trzeci wreszcie prąd nie zasługuje prawie na uwagę, wychodzi on z obozu polityków ezulostkowych, którzy sercem i poezją walczyć chcą przeciw zdrowemu rozsądkowi i prawom natury. Tym politykom — poetom, którzy ciągle mają na ustach utarte frazesy o „bratniej zgodzie“ odpowiemy ich językiem, że

„Walka o wolność gdy się raz zaczyna,  
Z ojca krwią spada dziedzictwem na syna;  
Sto razy wrogów zachwiana potęga,  
Skończy zwycięstwem.

U Rusinów obudziło się poczucie odrębności narodowej, pragnienie wolności i samodzielności. Nieprawdą jest jakoby sztucznie stworzono ruską narodowość, jakoby sztucznie to pragnienie wolności obudzone. Obudził je wiatr od stepów ukraińskich, dumy poetów ruskich i wszystko a wszystko co składa się na pojęcie miłości ojczyzny.

Trzeba więc przyjęc fakt i liczyć się z nim. Nie wyklucza to jednak bynajmniej dążenia do zgody, ale na gruncie realnym, na granic wzajemnych interesów. Na tym stanowisku stanęli demokratyczni posłowie, którzy głosowali za wnioskiem Romanczuka: ciencieli oni dać Rusinom to, co im się słusznie należy, ażeby z drugiej strony pozyskać ich poparcie i współdziałanie w innych sprawach.

Oto jedynie zdrowa polityka, która prowadzi nie do jakiejś ezulostkowej zgody, którą lała wiatr rozwieje, ale do zgody trwałej do rodzaju przymierza dwóch równorzędnych przeciwników, przymierza zawartego na podstawie możliwie największego uwzględnienia wzajemnych interesów. Niestety zwyciężyło stronnictwo, które propaguje bezwzględna walkę, i nie chce zrozumieć, że taka walka zwycięstwem skończyć się nie może. Nie ten wódz mądry, co walcząc do upadłego naraża armję swoją na niepowetowaną klęskę, ale ten co w stanowej chwili korzystny zawrzeć umie pokój.

\* \* \*

O pożyteczności wzajemnej adoracji. Znacomity pisarz rosyjski Lew Tołstoj twierdzi, że ludzie żyją miłością. Zdaje mi się, że to pomyłka. Ludzie żyją daleko więcej surogatem miłości — pobłażliwością i indyferentyzmem. Niedarmo też kościół chrześcijański wielkie i nadludzkie przykazanie Chrystusowe: „Miłuj bliźniego jak siebie samego“ przekształcił na skromne i egoistyczne: „Nie czyń bliźniemu, co tobie nie miło!“ Stąd logika prosta: jeżeli tobie nie miło, by drudzy ganili twe błędy, więc i ty nie gań ich błędów, przynuraj oczy na ich ułomności i patrz

przez palce na ich głupotę. Mniej już teoretycznie prosta, ale w życiu równie niezbędna logika każe iść dalej i stosować się do przysłowia: ręka rękę myje. Jeżeli ci sumienie zabrania chwalić moje podłości i umieszczać się nad moją głupotą, to przynajmniej nleż o nich dyskretnie, lecz za to dmij w trąbę jerychońską, skoro odkryjesz w moich czynach cokolwiek dobrego i rozumnego. A ja oddam ci pięknem za nadobne. Nie to nie szkodzi, że czyni, jakie my u siebie wzajemnie wychwalać będziemy, niezem nie wznoszą się ponad miarę codziennej pospólności, że imi ludzie robią takie same czyny w ciszy i nawet nie myślą trąbić o nich po rozdźwiękach. Nie to nie szkodzi: w świecie to tylko ma walor, co bywa roztrąbionem, jak edykt licytacyjny wleczas tylko ma walor, gdy był trzykrotnie wydrukowany w c. k. Gazecie Lwowskiej. Dmij więc bracie, co masz siły, że ja uczeiwycy ezłowiek i wielki patyjota, a ja również nie będę szczędził płuc, aby i twą uczeiwycy, i twój patriotyzm rozgłosić za dziesiątą międę. Znam takich tetryków i śledzienników, którzy całkiem na serio twierdzą, że takie postępowanie jest niemoralne, że jest ono objawem zgnilizny społecznej. Panom tym musiło się w głowie przewrócić. Ja twierdząc, że wzajemna adoracja nie tylko nie znanionuje rozluźnienia węzłów społecznych, ale jest jedyną podstawą ich trwałości. Kleine Geschenke machen grosse Freundschaften. Ja twierdząc jeszcze więcej: że postępując sumiennie i nie obwijając prawdy w bawelnę, wkrótce doszlibyśmy do zupełnego rozbitcia wszelkich węzłów społecznych. Bo proszę państwa! Wehodzi do pewnego wielec patriotycznego towarzystwa, którego zadaniem jest ni mniej ni więcej jak odbudowanie ojczyzny, i zastają co wieczora filary tego towarzystwa grające w karty. Cóż by to było, gdybym w tym razie poszedł za głosem sumienia i zaczął opowiadać, że przewodcy tego towarzystwa zamiast budowania ojczyzny zajmują się tarokiem? Bez kwestji w pierwszym rzędzie wykluczonyby mi z tego towarzystwa, zabronionyby mi wstępu, jako niegodnemu plakowi kalajacemu własne gniazdo. Albo coby to było, gdybym o pewnym wielec patriotycznym i na ojca narodu pozującym redaktorze powiedział, że pisze nie dla przekonania, lecz dla pięniędzy i że między współpracownikami swymi propaguje ideę pracy bezkorzystnej, podczas gdy sam za każdy wiersz każe sobie dobrze płacić? Nazwanoby mi zazdrośnikiem niegodziwym i pesymistą i rozciągnięto by na mnie wszystkie dobrodziejstwa paragrafu „o eliminacyi ze społeczeństwa.“

Nauczony więc niejednym boleśnem doświadczeniem, wygłaszam następujące maksymy, zalecając je osobliwie naszej młodzieży, jako nadziei narodu: Sumienie, to jest pies warczący, którego zawsze najlepiej trzymać na łańcuchu. Wzajemne pobłażanie i wychwalanie, to jest

wspólny grunt, na którym wyrastają najpiękniejsze stosunki i stosunekczki społeczne.

\* \* \*

Partja robotnicza we Lwowie, po długim milczeniu, dała znów znak życia. Z letargu obudził ją wniosek Plenera uczyniony w Radzie państwa, o zaprowadzenie izb robotniczych i nadanie im prawa wybierania posłów do parlamentu. Na wezwanie redakcji czasopisma robotniczego „Praca“ zebrało się około 500 robotników. Z codziennych pism znany jest dosłownie przebieg zgromadzenia i znana jest uchwalona rezolucja, znamionująca w każdym razie nowy prąd, który zawiął w tym obozie. Nie o samej też rezolucji pragniemy pomówić, tylko o niezwyklej fizjonomji tego zebrania.

Przedewszystkiem skonstatowaliśmy u zgromadzonych robotników, niezwykle poważny nastrój, z jakim na innych publicznych zebraniach spotkać się trudno. Ci ludzie ciężkiej pracy i ciężkiej doli, przybyli na zgromadzenie jakby do pracy, do spełnienia obowiązku. To też mimo że nad jednym przedmiotem debatowano już przeszło dwie godziny, wniosek o zamknięcie dyskusji spotkał się z wołaniem: „nie chcemy zamykać dyskusji, my chcemy pouczyć się i zrozumieć o co idzie.“

Dziwny to kontrast ze zwykłym przebiegiem naszych zgromadzeń, gdzie każdy stara się jak najmniej słyseć z tego co mówią drudzy, a godzina obiadowa wpływa nieraz na ubicie „w krótkiej drodze“ spraw najżywotniejszych.

Ze robotnicy rozumieli dobrze o co idzie, świadczyły głosy wydobywające się z tłumy i sposób w jaki przyjmowano rozmaitych mowców. Na zgromadzeniu bowiem jasno zarysowały się dwa stronnictwa: pierwsze przez które zgromadzenie zwołane zostało, reprezentuje kierunek socjalistyczny poważny, a w działaniach swoich opierając się na gruncie konstytucyjnym, współdziałać pragnie we wszystkich pracach około rozwoju społecznego i politycznego, nie spuszczać nigdy z oka głównego celu, do którego dojść spodziewa się na drodze postępu — krok za krokiem, jakkolwiek nie wyrzeka się aspiracji rewolucyjnych.

Drugie stronnictwo przybyło o ile oszczędzić mogliśmy, tylko celem zerwania zgromadzenia. Hasłem tego stronnictwa negacja a celem chyba dziecięca negacji: anarchja. Mimo jednak, że najskrajniejsze hasła, najłatwiej zazwyczaj trafiają do przekonania mas, rycerze negacji nie znaleźli u robotników lwowskich posłuchu i wniesione rezolucje zostały uchwalone.

\* \* \*

Drugi rok już wychodzi we Lwowie miesięcznik naukowo-literacki p. t. „Przegląd Społeczny“ — pismo o zakroju tak poważnym i wytrawnym jak żadne

inne w Galicji. W ciągu roku 1886 umieścił „Przegląd Społeczny“ szereg artykułów treści socjologicznej, politycznej, filozoficznej itd. z których na szczególną uwagę zasługują prace: „Polska w czasie wielkiej rewolucji francuskiej i wpływ tej ostatniej na nią“ przez Bol. Limanowskiego, „Demokratyzm i Liberalizm“ gruntowne studjum Zygmunta Balickiego, szereg „Szkiców programowych“ różnych autorów, prace polityczne Jeża, literackie Biegeleisena, artykuły o sprawach krajowych Franka i wiele innych. Około redakcji „Przeglądu Społecznego“ ugrupowało się poważne grono pionierów postępu, tak że dzisiaj pismo to uważać można za najwybitniejszy organ partji postępowej.

Pod rubryką „Literatura“ podajemy treść zeszytu za miesiąc styczeń b. r. i radzimy szczerze każdemu, kto poznać pragnie niezmiordowaną pracę postępowców zaprenumerować „Przegląd Społeczny“, któremu cała postępowca prasa wysokie przyznała zalety.

## Ze świata muzycznego.

Bülów, słynny pianista i dyrygent, jeden z najlepszych interpretatorów Beethovena, odwiedził w ubiegłym miesiącu nasze miasto i dał tu jeden koncert. Oczywiście, że sława poprzedzająca go ściągnęła liczną i dystygnowaną publiczność do sali koncertowej, która miała niezwykle, uroczystą fizjonomią.

O grze Büłowa nie odważymy się wydawać sądu, gdy inni kompetentniejsi w tej kwestji głos zabierali, gdy sąd całego wykształconego świata już dawno postawił go między najlepszymi, bo obok Liszta i Rubinsteina. Notujemy tylko fakt, że nie wywołał on na publiczności tego wrażenia, które wywołał kilka tygodni przedtem Eugeniusz d'Albert. Czy jednak leżało to w jego intencjach wywołać wrażenie takie, czy też gra jego do innych zmierza celów — tego rozstrzygnąć nie umiemy. Dziwnym był wybór programu, który prawdopodobnie nie odpowiadał zupełnie kierunkowi talentu Büłowa. I tak grał on cały szereg Chopinowskich utworów całkiem odmiennie od powszechnej Chopina interpretacji. Nie mamy tu na myśli praktykowanego u nas niby tradycyjnego skomlenia, bo np. d'Albert pokazał nam, jak Chopina grać można, postępując całkiem inną jak Büłow drogą.

Natomiast w kompozycjach klasycznych okazał Büłów całe swoje mistrzostwo; niestety zakreślił im w programie zbyt ciasne koło, ograniczając się na Sonacie Brahmsa, jednej tylko sonacie Beethovena i wariacjach Mendelssohna. Temi ostatniemi zachwycił publiczność, zaś sonatą Beethovena zaimponował, odslaniając oddaniem jej całą potęgą geniuszu Beethovenowskiego.

Bülów zdaje się także zadowolony z publiczności lwowskiej, gdy przyrzekł, że niebawem przybędzie dyrygować koncertem orkiestralnym, którego dochód przeznaczony na dobroczynne cele.

Opera obecnie cieszy się lepszym powodzeniem, szczególnie odkąd zawitała do nas panna Blanka Donadio wraz z p. Frapollim. Śpiewaczka ta jest już nam znana z pierwszego swego pobytu we Lwowie, gdy karierę dopiero rozpoczynała. Od tego czasu minęło lat jedenaście — a Blanka Donadio wślawiła się w tym czasie w całej Europie, jako znakomita śpiewaczka koloraturowa. I rzeczywiście pod względem techniki jak i pod względem gry nie można jej uczynić żadnego zarzutu; choć samo głos jej, jakkolwiek od czasu, jak ją słyszeliśmy pierwszy raz, stracił na sile, jest jeszcze zawsze dość silny a przytem bardzo piękny i czysty. Niemniej dobre wrażenie wywołał tenor p. Frapolli: nie jest to tenor bohaterski a la Mierzwinski, lecz liryczny, którego głos w niższych pozycjach nieco słabszy, w wyższych tonach zadziwia swoją dźwięcznością i siłą. Przytem p. Frapolli ma doskonałą szkołę, sposób śpiewania jego jest wzorowy a gra godna najlepszego artysty dramatycznego. Nie dziw że para ta artystyczna wzbudza u publiczności żywe zajęcie i ściąga zawsze liczne tłumy do sali teatralnej. Panna Donadio śpiewała Rolinę w Cyruliku, Lunaticzkę i Dinorę; wszystkie trzy partje śpiewała doskonale, najlepiej jednak podobała się nam w partji Rozyny, zaś p. Frapolli najpiękniej śpiewał Elwira w Lunaticzce, pod względem gry zaś odznaczył się w Dinorze.

W całości Cyrulik sewilski najbardziej nas zadowolil, gdyż tu prócz debutantów i ensemble był bardzo dobry a tak pan Noll i jak i p. Curti wykonali swoje partje zupełnie poprawnie.

Do udalnej całości przyczynilo się i to, że w Cyruliku sewilskim chóru prawie nie ma, — co u nas bardzo wiele znaczy.

W Dinorze po raz pierwszy brała udział nowo zaangażowana harfistka p. Pistor; — postęp to nie mały dla naszej orkiestry, w której dotychczas pianino musiało zastępować harfę.

We Wiedniu występowała w ubiegłym miesiącu nasza śpiewaczka p. Marcela Sembrieh-Kochańska i pozyskała dla siebie w dwóch koncertach całą publiczność. Krytyka jednogłośnie przyłączyła się do ogólnego o niej mniemania, stawiając ją w rzędzie pierwszych gwiazd obok Patti i Nilson. Pominawszy wszystkie zalety jej fenomenalnego głosu i koloraturę, nie mogą się jej dość nachwalić, sądząc ze stanowiska czysto muzycznego. — Es ist eine der musikalischsten Sangerinnen der Ge-

genwart, oto co pisze znany krytyk Teodor Helm. Obecnie będzie p. Sembrieh występować w operze nadwornej.

Nowy pianista ukazał się we Wiedniu i zrobił furorę: Reismauer — tak się nazywa, — ma dorównywać Gräufeldowi w artyznie na fortepianie, nie zaś w sztuce reklamy, dlatego koncerta jego były próżne

W Berlinie wystawioną została nowa opera Henryka Hoffmana „Donna Diana“. Jakkolwiek krytyka wyraża się o niej pochlebnie, opera nie miała powodzenia i na repertoarze się nie utrzyma. Główną partją śpiewała panna Lola Beeth: wszystkie sprawozdania są pełne pochwał dla tej artystki, której mistrzowskiemu śpiewowi jedynie opera ma zawdzięczać, iż odrazu nie przepadła. B.

## Kronika powszechna.

### Literatura, prasa, odczyty.

Piotr Chmielowski wydał nową książkę p. t.: „Nasi powieściopisarze. Zarysy literackie“ (Kraków 1887, 80). Tom ten zawiera studia nad utworami Kraszewskiego, Michała Czajkowskiego, Henryka Rzewuskiego, Zygmunta Kaczkowskiego, Zacharjasiewicza i Sienkiewicza.

— Wiktora Gomulickiego „Poezje“ okazały się już w handlu księgarskim. Wkrótce wyjdą także nakładem Gebetnera „Nowelle“ tego autora

— Przeglądu społecznego, miesięcznika pod redakcją Bolesława Wysloucha, wyszedł zeszyt pierwszy na rok bieżący i zawiera: I. Słowo wstępne. — II. Rzut oka na wielką rewolucję francuską ze szczególnem uwzględnieniem poruszonych przez nią zagadnień, przez B. Limanowskiego. III. Galiejska własność ziemska. 1. Cyfry i fakty, przez Iwana Franko. — IV. Szlachta w świetle poezji ludowej przez dra. Henryka Biegeleisena. — V. Od czego zależy przyszłość Rosji? (Urywek z niewydanych wspomnień, przez W. Deborę-Mokryjewicza. — VI. Więzień, przez A. M. VII. Sprawozdania literackie: 1) Rocznik statystyki Galicji, wydany przez krajowe biuro statystyczne pod kierunkiem Tad. Rutowskiego. 2) Psychologja Clar Murraya, ocenil Wł. Kozłowski. 3) Introduction a la sociologie, par Guillaume de Greef, ocenil E. P. 4) Ruch filozoficzny przez W. K. — VIII. Kronika: 1) Pecha. Jako my umieramy; — Z okazji odbytego wiecu rabinów żydowskich i „endotwórców“, przez W. F.; — Sprawy polityczno-społeczne w stosach raskiego ludu w Galicji, przez Iwana Franko. 2) Stosunki górnicze we Francji przez E. Przewóskego. — IX. Notatki z literatury krajoznawczej. Pierwsze wydanie „Przeglądu“ zostało skonfiskowane za artykuły: „Szlachta w poezji ludowej“ i „Od czego zależy przyszłość Rosji?“ Redakcja zarządziła wydanie drugie, w którym w miejsce inkryminowanych artykułów umieszczono „Znaczenie społeczne Zoli i jego szkoły.“ Aby uprzystępić szerszym kołom korzystanie z pisma, redakcja zniżyła cenę na 1 złr. kwartalnie, tj. blisko o połowę dotychczasowej ceny, a mimo to rozszerzyła jego objętość.

— Biblioteka umiejętności prawnych wychodząca w Warszawie, zapowiada: Kaz. Nowakowskiego „O rejestrze finansowym“, dr. Oczapowskiego „O prawnoznawstwie“, Załęskiego „O zasadach ekonomiki“, Wł. Nowakowskiego „O prawie małżeńskim“ i H. Konica „O ustawie kolejowej“.

Redakcja „Switu“ na rozpisany konkurs fejetonowy otrzymała dwanaście manuskryptów. Nagrodę otrzymał fejeton pod tyt.: „Qui sait“, którego autorem jest p. Marjan Gawalewicz.

— Pan Erazm Majewski wydał broszurę p. tyt.: „O pilniejszych potrzebach naszego języka naukowego i o słowniku zoologiczno-botanicznym.“

— Dziennikarstwo polskie w Ameryce rozwija się bardzo szybko. W zeszłym roku powstało pierwsze codzienne pismo p. t.: „Dziennik Polski“; a obecnie w Chicago drugie, p. t. „Kurjer chicagowski“. Żałować tylko wypada, że Polacy za bezcen tak mało pielęgnują mowę ojczystą, polszczyzna bowiem w amerykańsko-polskiej prasie jest wręcz okropną.

— Znane dzieło Jana Sturta Mill'a o poddaństwie kobiet wyszło w nowym przekładzie polskim dokonany przez panią M. Ch. z portretem autora. Dawniejszy przekład tego dzieła (wydany w Toruniu) jest tak lichym, że pomijawszy wyczerpanie się takowego w handlu — dobry przekład bardzo był potrzebnym.

— Literat szwedzki p. Uissenström wydał mały przewodnik literatur słowiańskich, w którym obszerny ustęp poświęcił literaturze polskiej, a mianowicie epoce Mickiewiczowskiej.

— Skierowana przeciw teorjom Hartmanna, wyszła w Bonn praca Weckessera p. t. „Der empirische Pessimismus im System von G. Hartmann“.

— Od 15. b. m. wychodzić będzie w Berlinie czasopismo p. t. „Der Journalist“ poświęcone specjalnie sprawom zawodu dziennikarskiego. Redaktorami są pp. Gustav Meyer i Arthur Anderssen.

\* \* \*

### **Malarstwo, rzeźba i architektura.**

— Na wystawie w Sukiennicach w Krakowie znajduje się obecnie nowy obraz Matejki „Zygmunt August umierający“.

— Siemiradzkiego ostatni obraz „Pokusy św. Hieronima“ umieszczony został na wystawie w Rzymie.

— Fr. Zmurko wykończył obraz większych rozmiarów p. t. „Na skrzydłach pieśni“.

— W salonach p. Krywulca w Warszawie ukazał się nowy obraz rodzajowy Jacka Malezewskiego „Przemysłowcy“.

— Obraz Suchorowskiego: „Rozkoszne Marzenia“, również własność pana Krywulca, wystawionym jest obecnie w Krakowie.

— Obraz Roehegross'a „La Jacquerie“, przedstawiający scenę z francuskiej wojny chłopskiej znajduje się obecnie na wysta wie zjednoczonych towarzystw sztuk pięknych we Lwowie.

— Zbiory niedawno zmarłego malarza Amelinga na mocy zapisu przechodzą na własność miasta Wiednia.

— Zamek Christiansborg w Kopenhadze, który zgorzał roku zeszłego, ma być odbudowanym w dawnej postaci kosztem 5 milionów koron. Konkurs na budowę został już rozpisany.

— Braćta Robert i Ludwik Cauet, rzeźbiarze w Kreuznach modelują obecnie pomnikową grupę na cześć

Ulryka von Hutten i Franza von Sickingen, która ma być ustawioną na Ebernburg pod Rottenfels, a to na dniu 22. kwietnia 1888. r. jako w rocznicę 400 letnią urodzin Huttena.

Popiersia poetów Lenau'a i Grüna, wykonane z marmuru wielkości więcej niż naturalnej, ustawione będą we Wiedniu na Schillerplatz przed gmachem akademii sztuk pięknych.

— W Petersburgu ma być urządzoną wystawa osmiu obrazów Matejki.

\* \* \*

### **Teatr i muzyka.**

— Dnia 4. b. m. przedstawiono po raz pierwszy w wiedeńskim Burgteatrze tragedję Calderona „Lekarz swego honoru“ w opracowaniu Alfreda Wilbrandta. Zdania krytyków o wartości tego opracowania są podzielone.

Znakomity artysta wiedeńskiego Burgu Karol Meixner obchodził w tych dniach 50-letni jubileusz swojej działalności scenicznej.

— W Londynie przedstawiono nową operetkę Gilberta i Sullivana p. t. „Ruddigore albo Przekleństwo czarownicy“.

— Z niecierpliwością oczekiwane pierwsze przedstawienie „Otella“ Verdiego odbyło się nareszcie d. 5. b. m. w Metjolanie i rozentuzjazmowało publiczność do tego stopnia, że po przedstawieniu wypragnięto kompozytora konie od powozu i wśród okrzyków odprowadzono do domu. Nadto deputacja od publiczności wręczyła mu piękną srebrną misę.

\* \* \*

### **Nauka.**

— Prof. dr. Mikulicz, znakomity operator krakowski, powołany został na uniwersytet w Królewcu pod tak świetnymi warunkami, że jak się zdaje ani prośby uczniów i kolegów, ani głosy dzienników nie zdołają go powstrzymać od wyjazdu z Krakowa.

— Na posiedzeniu Towarzystwa przyrodników im. Kopernika, mówił dr. A. Rheman „O precesji i jej wpływie na wiekowe zmiany klimatu ziemi“, pan Dunikowski „O badaniach Nordenskjölla i Nathorsta w Grenlandji“.

\* \* \*

### **Ruch społeczny.**

Bank ziemski w Poznaniu otrzymał od pana Jerzmanowskiego w New-Yorku telegraficzne przyzecie że podpisze za 20.000 marek akcyj, skoro subskrypcja na takowe będzie otwartą. Słychać że otwarcie subskrypcji nastąpi już w tych dniach.

— Proletariat artystyczny wzmaga się; głównego zastępu dostarczają fortepianiści. W Paryżu zgłosiło się obecnie 220 młodych pianistek do konserwatorium; z tych przyjęto 13 do klasy przygotowawczej, 17 do dalszych klas a 190 odmówiono przyjęcia.

\* \* \*

### **Zmarli.**

— Józef Smoleński, generał wojsk amerykańskich, były żołnierz wojsk polskich, kawaler orderu wirtuti militari, zmarł niedawno w Waszyngtonie.

— Jan Margielewicz, znany bibliofil zmarł w Wojnowie na Litwie, zostawiając bibliotekę przeszło 20000 tomów liczącą.

— Dr. Teofil Żebrowski inżynier cywilny, członek akademii umiejętności, b. kapitan wojsk polskich, zmarł w Krakowie mając lat 88.

— Dr. August Mahn, lingwista, umarł w Steglitz pod Berlinem w 85. roku życia.

— Konstanty hr. Broel Plater, znany architekt i współpracownik pisma fachowego „Annales d' Architecture“ zmarł w Hietzing pod Wiedniem.

— Edwin Chadwick, higienista, znany reformator angielskich ustaw fabrycznych, zmarł w East Sheen pod Londynem, mając lat 87.

— Aristides Oeconomus, artysta-malarz, zmarł w Atenach d. 22. Stycznia.

— Emma Seiler, znana nauczycielka śpiewu w Filadelfii, autorka dzieł p. t. „The Voice in Singing“ i „The Voice in Speaking“ wielokrotnie cytowana w dziełach Helmholtza, Dubois-Reymond i i. — urodz. 23. lutego 1821 w Würzburgu, zmarła d. 21. grudnia r. z. w Filadelfji.

— Daniel Penther znany malarz, i kustosz Akademii sztuk pięknych we Wiedniu, zmarł tamże d. 11. lutego

— Znakomity podróżnik dr. Holub wraz z żoną według doniesień z Captownu nadeszłych, zamordowanym został przez krajowców.

— Profesor dr. Schröder, słynny ginekolog, zmarł w Berlinie.

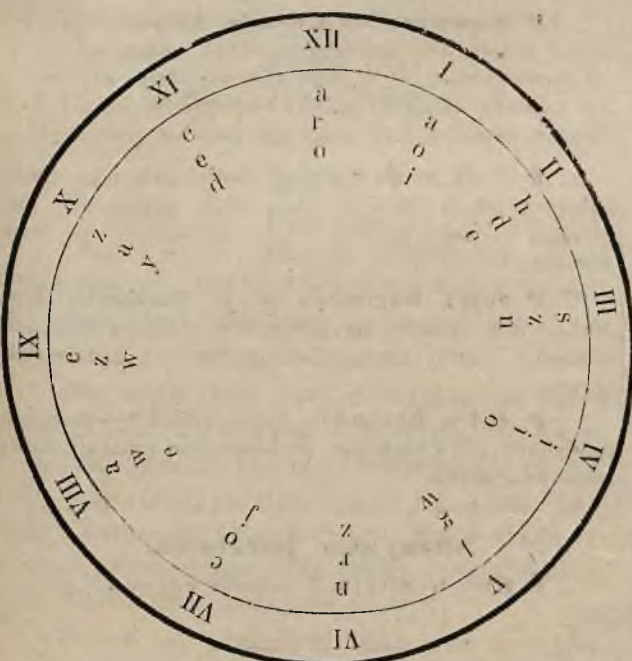
## ZADANIA.

### Akrostych Nr. III.

Niedołężny obawa okrutny finale skryty rozrzućny  
wzajemny nieporadny ubrany rozumny.

Zamiast powyższych wyrazów położyć dziesięć innych o wręcz przeciwnem znaczeniu i ustawić tak, żeby początkowe litery dały imię głośnego polsa rzeczypospolitej.

### Zegar magiczny Nr. 2.



Począwszy w jednym miejscu opuszczać pewną ilość godzin i postępować w kierunku biegu wskazówek.

Rozwiązanie: Przysłowie znane w dawnej Polsce.

### Lamigłówka Nr. 2.

da, cie, ga, e, wski, te, mań, jo, dwi, rze, o,  
mem, wu, ma, ta, ne, ga, ce, je, no, ski, non, ko,  
ka, sław, wi, nio, a, ry, ja, ski, nie, djusz, i,  
rze, ga, wi, i,

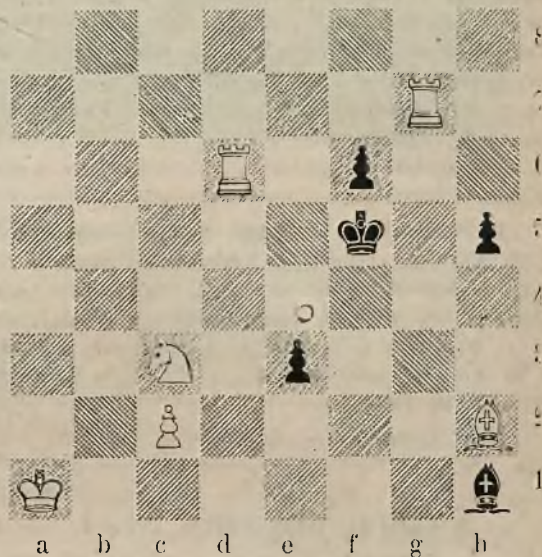
1. Miejsce gdzie miały paść słowa złowróżne dla naszej przyszłości.

2. Królowa która poświęciła siebie dla dobra narodu.
3. Znakomity i płodny komedjo-pisarz polski.
4. Poeta łaciński.
5. Profesor rosyjski, głośny pausławista.
6. Król starożytny, który zginął w wojnie z Grecją.
7. Miasto w Rosji.
8. Hetman Ukrainy, którego sławę głosi znana dumka.
9. Starożytny utwór klasyczny.
10. Miejsce sławne zwycięstwem Polaków nad Moskwą

Początkowe litery dają imię i nazwisko znakomitego poety.

## Zadanie szachowe IV.

Czarne.



Białe.

Białe zaczynają i dają w trzecim pociągu mat.

Jako premię za rozwiązanie AKROSTYCHU naznacza Redakcja do wylosowania:

### Dzieła Ignacego Krasickiego

(5 tomów).

Za rozwiązanie LAMIGŁÓWKI

### „Zbiór nowelek konkursowych“

Za rozwiązanie ZEGARA MAGICZNEGO

### „Cywilizator“

powieść Wdowiszewskiego.

## Rozwiązanie zagadnień z III. zeszytu.

ARYTMOGRYF Nr. 1.

Konieczpolski  
August  
Strawiński  
Prądziński  
Emaus  
Rejtan  
Kurewicz  
Andrychów  
Romanowy  
Leszczyński  
Ingres  
Nalewki  
Sommosierra  
Klajpeda  
Joachim

Kasper Karliński  
obrońca Olszyna.

Trafne rozwiązania nadesłali:

P. Nitsch, Sz. Kasyno w Bieczu, p. Piątek w Paszeczynie, p. Zajęczkowski w Buczacu, p. A. Zieliński w Buczacu, p. Hładyłowicz w Niemirowie, pani Olga Skarzyńska w Łotatnikach, pani Marja Sarnowicz we Lwowie, p. Robel w Nowym Sączu, p. Łobos w Miłówee, p. Kluczyński w Witowicach, p. Hołyński w Słobodzie rungurskiej, p. Switkowski w Tarnopolu, Sz. Czytelnia w Kańczudze, p. Makarewicz w Krakowie, p. Hauser w Kołomyji, pani Irzykowska w Wołaczkowcach, p. Jurkiewicz we Lwowie, p. Zadurowicz w Stanisławowie, p. Kassaraba w Przemysłu, p. Godel we Lwowie, p. Stankiewicz w Sarnie, p. Steczkowski w Krakowie, p. Tyrcha w Baszni, pani Słonecka w Stanisławowie, p. Dr. Orłowski w Przemysłu, p. Kovats w Grzymałowie, p. Głazewski w Turce, pani Marja Parvi w Krakowie, p. Jakubowski w Tarnowie, p. Nazarewicz w Łańcucie, pani Jadwiga Guniewicz w Starem siole, p. Kannenberg w Łopatynie, p. Błażyński w Krakowie, p. Hild w Stryju, p. Zwiebel we Lwowie, p. Jabłoński w Burkanowie, Sz. Kasyno w Zaleszczykach, p. Makarewicz w Skale, Sz. Kółko w Ropezycach, p. Reklewski w Tymbarku, p. Teofil N. w Kosowie, p. Kaner w Szezeren.

P. Paczowski w Gorlicach, p. Tyszkowski w Sieniawie, Sz. Czytelnia Ognisko w Krakowie, p. Skaż: w Zwierzyńcu, p. Adamski w Balicach, p. E. Duniewicz we Lwowie, p. Zawirski we Lwowie, pani Obmińska w Przemysławach, pani A. Słomkowa w Tyśmienicy, p. Bobrowski w Czortkowie, Sz. tow. kasynowe w Bochni, p. Eberle w Borymizach, p. Kiweluk we Lwowie.

Przy losowaniu wygrała premię sz. Czytelnia w Kańczudze.

### Kwadrat magiczny Nr. I.

A	J	D	A
J	G	O	R
D	O	R	A
A	R	A	B

Trafne rozwiązania nadesłali:

P. Nitsch, Sz. Kasyno w Bieczu, p. Zajęczkowski w Buczacu, p. A. Zieliński w Buczacu, p. Hładyłowicz w Niemirowie, p. Łobos w Miłówee, p. Hołyński w Słobodzie rungurskiej, p. Switkowski w Tarnopolu, Sz. Czytelnia

TREŚĆ: I. Piekiełko, powieść Michała Wołowskiego. — II. Pożegnanie, wiersz Henryka Kubińskiego. — III. Marja Konopnicka, studjum literackie. — IV. Korespondencje „Ruchu“. — V. Jad, powieść Al. Kielanda. — VI. Dramat muzyczny, przyczynek do filozofii piękna i sztuki przez Rajmunda Baczyńskiego. — VII. Pogład na obecny stan nauki o szepieniu ochronnem chorób zakaźnych, podał Dr. J. Szpilman. — VIII. Jak powstają pieśni ludowe przez Iwana Franka. — IX. Królowa bału przez Melanie Parczewską — X. Atalea Princeps, baśń W. Garszyna; (przekład z rosyjskiego). — XI. Z wystawy zjednoczonych towarzystw sztuk pięknych we Lwowie. — XII. Porządny człowiek przez Ad. — XIII. Echa. — XIV. Ze świata muzycznego. — XV. Kronika powszechna. — XVI. Rozwiązania, Zagadki, Zadanie szachowe. — Ogłoszenia.

w Kańczudze, p. Irzykowska w Wołaczkowcach, p. Zadurowicz w Stanisławowie, p. Kassaraba w Przemysłu, p. Godel we Lwowie, p. Stankiewicz w Sarnie, p. Steczkowski w Krakowie, p. Tyrcha w Baszni, pani M. Wurst w Kosowie, p. Dr. Orłowski w Przemysłu, p. Nazarewicz w Łańcucie, p. J. Guniewicz w Starem Siole, p. Kannenberg w Łopatynie, p. Hild w Stryju, p. Jabłoński w Burkanowie, p. Makarewicz w Skale, Sz. Kółko w Ropezycach, p. Reklewski w Tymbarku, pani St. Słonecka w Stanisławowie, p. Ilgner w Szezeren, p. Makarawicz w Krakowie, p. Kluczyński w Witowicach.

P. Paczowski w Gorlicach, p. Tyszkowski w Sieniawie, p. Skaż... w Zwierzyńcu, pani Heniszowa w Krościatynie, p. E. Duniewicz we Lwowie, pani Obmińska w Przemysławach, pani Słomkowa w Tyśmienicy, p. Robel w Nowym Sączu.

Przy losowaniu wygrał premię

P. Kovats w Grzymałowie.

### Zadanie szachowe Nr. III.

Białe:

Czarne:

a 1 . . . . .	a 2 . . . . .	e 4 — e 3
d 1 . . . . .	a 1 . . . . .	e 3 — e 2
e 3 . . . . .	b 1 . . . . .	e 1 — dowolnie.
b 1 . . . . .	d 2 mat.	

Trafne rozwiązanie nadesłała pani Helena Henisz w Krościatynie.

### Skrzynka grafologiczna.

**P. S...owycz we Lwowie.** Figlarz z jegomości, zawsze wesoły, z żywym temperamentem, złotem sercem ale nie przedsiębiorczy — za mało ufny we własne siły. — Nie będziemy daleko od prawdy twierząc, że jesteś pan architektą, geometrą, albo czemś tym zawodem pokrewnym.

**P. T. M. w R.** Śmiały i wesoły, jakkolwiek trochę letkiewicz jednak charakter silny, nieco materialista, lubi porządek — pedagog, albo dłuższy czas oddawał się temu zawodowi.

**P. Józef Kazimierz J. w Tarnowie.** Brak własnej woli, żyłka do krytykowania wszystkiego, zbytecznie oszczędny, prawie skąpy — niewrażliwy na delikatniejsze uczucia.

**P. Gil w Krakowie.** Uparty i kłótlivy — posiadasz pan zdrowy zmysł krytyczny, charakter nieco rubaszny, usposobienie znośne.

### Skrzynka pocztowa.

**P. Hier w Stryju.** W polemikę wdawać się nie możemy.